Nr. 46. Warszawa, dnia 1 (13) Listopada 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują. Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Paragraf 14 i paragraf 3.

Z Przedlitawii wyjść niepodobna, bo żaden kraj na świecie w obecnym czasie nie przykuwa tak do siebie uwagi i w tak ustawicznem nie utrzymuje jej naprężeniu, jak ta błogosławiona „Reichshälfte." Statysta i humorysta, nowiniarz i myśliciel zarówno odbijać ją musi w zwierciedle swego umysłu, a rozpalony raz ogień niemieckiego buntu, daleki jeszcze od wypalenia się, narzuca polityce bieżące sprawy austryackie, jako ważniejsze od innych i dopominające się też przed innemi pierwszeństwa. Zaprojektowane prawo o tymczasowej ugodzie z Węgrami, przedłużające ją do czasu porozumienia się ostatecznego o kwotę — przedmiot obrad przeszłego tygodnia — w piątek nareszcie, d. 5. b. m., zdołała większość, pomimo oporu Niemców i trzymających z nimi socyalistów, wypchnąć z Izby do komisyi budżetowej. Obstrukcyonizm niemiecki, usypawszy całe góry przeszkód jak najbardziej fizycznych, spostrzegł daremność swego trudu i zapłonąwszy gniewem, przyodział go w sofizmat, że odesłanie do komisyi stało się tylko dzięki niesłychanemu, obrażającemu pogwałceniu regulaminu i samej nawet konstytucyi. Odczytanie przez dr. Pergelta w d. 6 b. m. protestacyi zbiorowej członków komisyi budżetowej, zakażonych obstrukcyonizmem, pokazało odrazu, że Niemcy taktykę swoją z Izby przenoszą do komisyi. Co zapowiedzieli, to zrobili. Z powodu hałasów i bezładu narady d. 8 b. m. musiał prezydujący odroczyć.

Na pierwszem zaraz posiedzeniu, po owej protestacyi, pozbawionej najlżejszej nawet faktycznej podstawy, minister skarbu, p. Biliński, wezwał wogóle komisyę, nie wytykając palcem nikogo, aby projekt uchwaliła; gdyby bowiem w sposób „parlamentarny" zaprojektowane prawo do skutku dojść nie mogło, rząd musiałby załatwić sprawę przez rozporządzenie cesarskie, na mocy § 14 prawa z d. 21 grudnia 1867 r. o ciałach przedstawicielskich państwa. Ostrzega zatem minister, już nie jako członek rządu, ale jako kolega członków Izby poselskiej w Radzie państwa, aby parlamentaryzmu nie wystawiali na pokrzywdzenie i zalecili przyjęcie projektu, który tak czy owak prawem stać się musi. Zahuczało zaraz w obozie niemieckim, jak długi i szeroki: cała konstytucya zagrożona, rząd może się odtąd obywać bez sejmu; brutalna przemoc zawzięła się na zdławienie prawa. Łagodność groźby, zamieniająca ją na koleżeńską radę; stan konieczności, w jakim znajduje się Przedlitawia wobec Węgier; bliskość fatalnego terminu (31 grudnia): nic nie zaważyło na szali tej zwierzęcej logiki, której hołdują przedstawiciele narodu, kroczącego na czele cywilizacyi. Rząd i popierającą go prawicę już pogwałcili i jeszcze dalej gwałcić chcą konstytucyę, a tylko oni, Niemcy, zamieniający Izbę na karczmę, lekceważący najżywotniejsze potrzeby monarchii — występują w obronie konstytucyjnego porządku!

Niestosowny wybór oręża z arsenału prasy przedlitawskiej nadaje temu nowemu oskarżeniu Niemców niezaprzeczone oparcie logiczne. Istotnie, ów paragraf 14-ty inną zupełnie ma pod sobą hipotezę prawodawczą, a nie tę, która podesłać podeń pragnie gabinet p. Badeniego, urabiając ją z obecnego położenia. Paragraf przewiduje nieobecność Rady państwa i nagłość potrzeby całkiem nowej a pilnej, z którą niepodobna czekać na zgromadzenie się Rady. Ani jeden, ani drugi z tych warunków zasadniczych nie daje się stwierdzić w obecnym wypadku: ciało prawodawcze zasiada i działa — mniejsza o to, jak — a potrzeba ujęta już w projekt prawa nie może być ani nową, ani nagłą, zarówno według litery, jak i według ducha paragrafu. Całe to rozporządzenie, na które się powołał p. Biliński, jest zwykłem, w konstytucyach zamieszczanem uprawnieniem władzy wykonawczej do jednostronnego skorzystania z atrybucyi prawodawczej w razie nagłej potrzeby, ale jedynie tylko w charakterze tymczasowości i pod warunkiem przedstawienia spełnionego aktu sejmowi natychmiast po jego zebraniu się.

Na tym paragrafie 14-m rząd nie zdoła zatem konstytucyjnie się oprzeć, gdy nareszcie przyparty do muru przez fatalny termin, będzie musiał sam sobie dać to, czego mu dać nie zdoła Izba przez Niemców zawichrzona. Jest przecież w prawach przedlitawskich paragraf inny, odpowiedniejszy, nie ogólny, ale specyalny, w przewidywaniu niedojścia ugody z Węgrami,

na normalnej drodze prawodawczej zredagowany: na nim też nietylko może, ale i musi oprzeć się wszelki rząd — p. Badeniego, czy jego następcy — jeśli nie zechce pozwolić na faktyczne zerwanie węzłów Przedlitawii z Węgrami — zerwanie, którem ze strony Węgrów zagroził już p. Banffy w październiku. Owo jedyne w danym wypadku dostępne źródło uprawnienia daje § 3 prawa z 21 grudnia 1867 r. (Nr. 146 „Reichsgesetz Blatt“) o sprawach wspólnych wszystkim krajom monarchii. Paragraf ten rozporządza: „Gdyby porozumienie się między obu ciałami przedstawicielskiemi—Rada państwa i sejm węgierski — co do ustosunkowania wydatków wspólnych ustalić się nie dało, stosunek ten określa sam cesarz, ale tylko na rok jeden.“ W projekcie, przedstawionym Izbie deputowanych w Przedlitawii, chodzi właśnie o ten stosunek, tymczasowo utrzymany w postaci, jaką miał przez całe dziesięciolecie 1888—97. Prędzej lub później, ten czy ów rząd do tego paragrafu się zwróci. A czasu już tak mało, że długo namyślać się nie wolno. P. Badeniego może już nie będzie, ale potrzeba będzie — i nie on, to kto inny ją zaspokoi.

Tydzień polityczny. W Austryi ruszył się troch ę zator w Izbie deputowanych, ale utworzył się nowy w komisyi budżetowej, do której większość odesłała była projekt tymczasowej ugody z Węgrami. Przy największym pośpiechu, jeśli dotychczasowa przynajmniej karność potrwa dłużej, a los sam nie zmąci jej szyków, praca nad tym projektem przeciągnie się do Bożego Narodzenia. Prócz niej Izba nie zdoła podjąć skutecznie już żadnej innej: Niemcy tak samo-by ją zakrzyczeli, jak krzykiem hamują uchwalenie ugody. P. Badeni miał (d. 7 b. m.) długie, przeszło jednogodzinne posłuchanie u cesarza. Ofiarował wszystko, co mógł — swój urząd. Cesarz ofiary nie przyjął. P. Badeni więc dalej z mniejszością borykać się będzie. Prawdopodobnie chciał — nareszcie teraz — Izbę rozwiązać, ale i na to cesarz nie przystał. O losach projektu ugody w artykule wstępnym. Prezydent Izby, Kathrein, stanowczo nie chce w niej urzędować pod dzisiejszym regulaminem; mówiono o p. Abrahamowiczu, skończy się może na Ebenhochu, przewodniczącym w klubie Niemców-katolików. Węgrzy czekają na uchwalenie ugody tymczasowej. Stronnictwo niezawisłości, a w niem Franciszek Kossuth najgłośniej, pragnie rozbicia się większości przedlitawskiej o opór niemiecki: wtedy Węgry nie pozwoliłyby Banffy'emu na jednostronne opatrywanie potrzeb wspólnych i rozerwałyby unię. Oczywiście „Węgry“ — to p. Kossuth i jego przyjaciele.

Komisya parlamentarna prawicy zabiera się nareszcie do poprawienia regulaminu Izby — dość wcześnie. Czesi niechętni są zmianie. Każdy indywidualnie przekłada samowolę dla siebie nad wolność dla wszystkich.

P. Gołuchowski od 6 do 8 bawił w Monzy u króla włoskiego, któremu się jeszcze nie był przedstawił dotychczas. Znaczenia odwiedzin tych ani przesadzać, ani lekceważyć nie wypada: jest to niewątpliwie po przeszłorocznej imprezie berlińskiej dalszy krok, świadczący, że Austrya pragnie wytrwać w przymierzu. Odkrycia włoskiej *Nuova Antologia* o Robillancie, jako niechętnym, mogły przyśpieszyć manifestacyę.

W Berlinie wieści gazeciarskie zapowiadają żądanie nowych 100 milionów marek do walki z Polakami, z narodowością, ziemią i powietrzem polskiem.

D. 5 b. m. w Rio de Janeiro jakiś żołnierz z batalionu mocno podburzonego targnął się na życie prezydenta Moraesa—jemu samemu zadał lekką ranę, ale towarzyszący mu minister wojny Bittencourt z raną śmiertelną żył tylko dziesięć minut. Krewny prezydenta również raniony. Rozruchów i wstrząśnienia poważniejszego niema.

Izba francuska podzieliła korpus VI na granicy niemieckiej na dwa. Jest to wzmocnienie pogotowia wojennego na pograniczu. Niemcy, jeśli już nie postarali się wyrównać różnicy, będą mogli teraz jawnie posłać posiłki.

Pokój grecko-turecki ma już 14 artykułów przyjętych. Kreteńczycy wywiesili flagę narodową i czekają na samorząd. Porta nie chce mianować Schaeffera gubernatorem autonomicznym.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SZKOŁA OGRODNICZA W WARSZAWIE.

Przez kilka lat ostatnich ogół nasz wyczekiwał z niecierpliwością szkoły ogrodniczej w Warszawie. Wyczekiwał jej z tem większem upragnieniem, że pomimo rozwoju ogrodnictwa, pomimo, iż ten dział pracy ma wielką przyszłość przed sobą, dotąd nie mieliśmy zakładu naukowego, odpowiadającego w zupełności potrzebie. Kiedy zamknięto dawną szkołę prywatną przy ogrodzie pomologicznym, która wypuściła garstkę dobrze uzdolnionych pracowników, ogół się zmartwił, bo pozbawiono go zupełnie możności kształcenia młodzieży w zakresie ogrodnictwa. Ale oto wkrótce pocieszył się zapewnieniem, że przy tym samym ogrodzie powstanie szkoła lepsza, odpowiadająca wszelkim wymaganiom i potrzebom kraju w tej mierze. Spodziewano się tedy otwarcia szkoły pierwszorzędnej, bo za nią przemawiały wszystkie warunki i wymagania. Zakład ten miał rozporządzać pięknym, bogatym ogrodem pomologicznym, miał powstać w głównem ognisku kraju, gdzie się skupiło najpiękniejsze, najbogatsze i najbardziej postępowe ogrodnictwo, gdzie z czasem na racyonalnych podstawach rozwiną się główne organizacye wytwórczo-handlowe i pośrednictwo w wyszukiwaniu i zaofiarowaniu pracy fachowej; gdzie wreszcie istnieją aż dwa stowarzyszenia, poświęcone sprawom ogrodnictwa bezpośrednio i jedno (sekcya rolna) współdziałające pośrednio.

Oczekiwano długo i doczekano się nareszcie otwarcia szkoły *niższej* „pierwsze-

---

27)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Więzienie kajdanowe.

„Kajdanowem“ nazywa się na Sachalinie więzienie dla najcięższych przestępców. Po odbyciu tutaj okresu „próby“ idą do „więzienia poprawczego,“ które się nazywa więzieniem wolnem,“ dlatego, że zamknięci tam skazańcy chodzą na roboty bez konwoju, pod okiem jednego tylko dozorcy.

— Nasze więzienie kajdanowe jest złe!— zawczasu uprzedzał inspektor. — Budujemy nowe, ale jakoś wybudować nie możemy.

I żeby pokazać, jakie jest niedobre więzienie, inspektor prowadzi mię po drodze do pustego, przebudowywanego oddziału.

— Proszę patrzeć: to ściana! —Inspektor odbija kijem kawałki drzewa zgniłego. Uciec stąd nawet niewielka sztuka. Dość tylko się rozpędzić, uderzyć głową w ścianę i znaleźć się zewnątrz. Powietrze okropne, w zimie chłodno. Wogóle nie to nic warte.

Zgrzytnął ogromny zamek zardzewiały.

Baczność!—woła inspektor.

Dzwonią kajdany, a koło tapczanów wyrastają szeregi skazańców.

Na pierwszy dzień Wielkiej nocy z więzienia kajdanowego uciekło dwu ludzi, pomimo danego przez wszystkich więźniów „aresztanckiego słowa honoru.“ Teraz za karę wszyscy są okuci.

Wilgotno i duszno. Zapach jodły, rozwieszonej na ścianach trochę odświeża to powietrze sparte.

Wentylacyi niema żadnej.

Wen pustki, bezdomności.

Ludzie na wszystko machnęli ręką — i na siebie nawet.

Żadnych oznak chociażby najmniejszego, choć aresztanckiego zadowolenia. Żadnej dążności do stworzenia sobie bytu znośniejszego.

Nawet zwykle kuferki aresztanckie rzadko kto posiada.

Gołe tapczany, sienniki brudne, w kłębek zwinięte u wezgłowia.

Po tych tapczanach chodzi obdarty, z ogonem zadartym kot chudy i mruczące przymila się do więźniów.

Lubią oni bardzo zwierzęta. Kot, pies muszą być koniecznie w każdym numerze. „Może właśnie lubią je dlatego tylko, że zwierzęta zachowują się względem nich— „po ludzku.“

Pośrodku numeru stoi stół, raczej nie stół, lecz wysoka długa wązka ławka, pobielewana. Pełno na niej okruszyn chleba, stoją niesprzątnięte czajniki blaszane.

Wchodzimy akurat do tego numeru, gdzie umieszczono dwu „taczników“.

— No, pokaż swój instrument.

Nienasmarowane koło taczki skrzypi, łańcuchy dzwonią. Tacznik przywozi do nas swój ciężar.

Taczka waży dwa pudy, przykuta długim łańcuchem do kajdan nożnych.

Dawniej przykuwano do ręcznych, ale obecnie kajdany ręczne są bardzo rzadko nakładane tacznikom, jako kara za szczególne przewinienia.

Wszędzie, gdzie tylko więzień taki idzie, wiezie z sobą taczkę.

Z nią śpi w kącie, stawiając pod tapczanem.

— Ile lat musi dźwigać taczkę?—spytałem.

— Dwa. Przed nim na tej pościeli sypiał trzy lata inny tacznik.

Zbliżam się do owej pościeli.

U wezgłowia drzewo mocno wytarte łańcuchem. Pięć lat trze on to drzewo...

— Drzewo — i to nawet się ściera!—ponuro mówi mi jeden z więźniów.

Kara ciężka. Byłaby ona zupełnie niemożliwą do zniesienia, gdyby tacznicy od czasu do czasu sami nie robili sobie wypoczynku.

Trudno przykuć więźnia zupełnie. Przy pomocy towarzyszów, nasmarowawszy kajdany mydłem, chociaż z silnym bólem, czasem zdejmują je na noc; tym sposobem uwalniają się od taczki i odpoczywają chociaż kilka godzin na miesiąc.

Bywają nawet wypadki ucieczki taczników.

— Czy pracują oni?

go rzędu," której program jest następujący: Przedmioty ogólnie kształcące: religia, język rosyjski, arytmetyka, geografia i historya rosyjska; prócz tego mają być wykładane języki: francuski i niemiecki. Z przedmiotów specyalnych: pomologia, ogrodnictwo, hodowla kwiatów przeważnie na powietrzu otwartem, ogrodnictwo dekoracyjne. Botanika, zoologia (w zakresie elementarnym), gleboznawstwo, początkowe wiadomości z chemii i fizyki w zakresie niezbędnym dla ogrodnictwa. Następnie geometrya z objaśnieniami sposobów najprostszych pomiaru ziemi i podziału ogrodów. Prócz tego mają być wykładane główniejsze przepisy, dotyczące bytu włościańskiego. Kandydaci do szkoły powinni posiadać wykształcenie w zakresie dwuklasowych szkół wiejskich elementarnych. Zadaniem szkoły jest szerzenie śród ludu, przedewszystkiem drogą praktyczną, wiadomości z zakresu ogrodnictwa, tudzież rzemiosł ciesielsko-stolarskich i koszykowych w zastosowaniu do sadownictwa i ogrodnictwa.

Jak widzimy z programu, szkoła nie przekracza najskromniejszych granic elementarnych i służyć ma głównie do praktycznego zaznajamiania ludu z ogrodnictwem racyonalnem. Stoimy tedy wobec dziwnej i przykrej niespodzianki. Do takich zadań, dla których dostateczny być może kawałek gruntu przy wiejskiej szkółce elementarnej, poświęcono olbrzymie środki i pomoce naukowe: wspaniały bogaty ogród pomologiczny, zajmujący prawie włókę gruntu, gdzie mogłaby się kształcić z wielkim pożytkiem młodzież w zakresie wyższego ogrodnictwa, ażeby potem pełnić zadania instruktorów wiejskich i kierowników lub twórców dużych ogrodów w kraju. Prócz tego takiej skromnej szkółce początkowej, niezależnie od lokalu wynajętego, oddano pomieszczenie dość obszerne i przeznaczono, nie licząc różnych wpływów, 3,500 rs. rocznie stałej zapomogi. Czy nie szkoda tych środków naukowych i kosztów?

Między innemi szkoła ma urządzić kursy ogrodnicze dla nauczycieli szkółek wiejskich, ażeby tą drogą rozpowszechniać śród ludu wiadomości z zakresu ogrodnictwa i owocarstwa. Nakreślając tak piękne zadanie, popełniono jednak błąd zasadniczy, na który wymowny nacisk położyła *Gazeta Polska*, więc jej słowami opiszemy tę niedokładność, czy też niedopatrzenie: „Program szkoły nie obejmuje zupełnie wykładów języka polskiego. Uczniowie Polacy, przyszli krzewiciele ogrodnictwa między ludem, uczyć się będą wszystkich języków, oprócz polskiego. Jakąż więc drogą taki ogrodnik, mający zresztą ciągłą styczność z ludem, ze względu na swój fach, będzie szerzył swoje wiadomości ogrodnicze między włościanami? Język francuski i niemiecki nie na wiele mu się w tym wypadku przydadzą; natomiast znajomość dokładna języka polskiego okaże się niezbędną; teorya bowiem ogrodnictwa w szkole wykładana była w języku rosyjskim i każdy z ogrodników później, dla własnego użytku, musi ją przełożyć sobie w mózgu na język ojczysty, chcąc ją uczynić dostępną dla innych."

Nie wiemy dokładnie, co znaczy przedmiot pod nazwą: „główniejsze przepisy (prawo), dotyczące bytu włościańskiego." Czy to jest mowa o przepisach prawnych w zakresie rolnym, czy też o prawach zwyczajowych ludu? Bądź co bądź, przedmiot to jest ważny i należałoby go szerzej rozumieć; mianowicie wychowańcy szkoły ogrodniczej powinni być obeznani z ogólnymi warunkami bytu włościan, od czego w znacznej mierze zależą metody stosowania ogrodnictwa racyonalnego, pszczolnictwa, jedwabnictwa (bo i te przedmioty są przewidziane). Trzeba wiedzieć, gdzie jest mniej lub więcej rozwinięte poszanowanie drzewek przy drodze, zwłaszcza że z czasem, jak za granicą, może się doczekamy przy gościńcach zadrzewienia owocowego. Trzeba, stosownie do zwyczajów, wiedzieć, jakimi środkami w danej okolicy można zachęcić lud do tak pięknej i pożytecznej gałęzi produkcyi; gdzie potrzebne są przykłady w czynie, gdzie tylko zachęta słowna itd. Należy tedy dokładnie lud poznać pod względem obyczajowym, zwyczajowym, kulturalnym, etnograficznym. Trzeba wreszcie znać warunki topograficzne, klimatyczne i ekonomiczne danych miejscowości, ażeby módz przewidzieć, gdzie ta lub inna odmiana owocow da się hodować z powodzeniem. Słowem, trzeba znać w zakresie jak najszerszym geografię czysto miejscową, z uwzględnieniem ekonomii i kultury; trzeba ją znać i uczyć młodzież uczęszczającą do szkoły, w sposób możliwie najpraktyczniejszy. A więc ten przedmiot, umieszczony w programie, jak widzimy, ma doniosłe znaczenie. Nasuwa się tylko pytanie, kto się podejmie, a raczej kto będzie miał możność wykładania go? Prosty rozsądek dyktuje, że tylko człowiek dobrze obeznany z warunkami miejscowymi. Dotąd jednak widzimy jeszcze zbyt szczupłe siły podagogiczne. Może z czasem w miarę doświadczenia, będą uwzględniane potrzeby istotne, przynajmniej w zakresie elementarnym, jak wymaga program.

Trudno jednak pogodzić się z tą myślą, że nie będziemy mieli wyższej szkoły ogrodniczej, że tracimy sposobność korzystania z tak bogatych i niezwykłych środków naukowych, których zużycie na naukę elementarną jest, doprawdy, marnotrawstwem. Zawód byłby istotnie bardzo przykrym, gdyby nie to prawdopodobieństwo, że z czasem doświadczenie wskaże

---

— Zmuszeni — ale w innych więzieniach nie chcą. Nie z nimi poradzić nie można; na wszystko są gotowi.

Dokoła twarze ponure. Beznadziejność przegląda z ich oczu. Chłodne, surowe, złe spojrzenia. I gniew i cierpienie bije z nich. Oto, zdaje się, pęknie cierpliwość tych ludzi skazanych „na próbę."

Nigdy nie zapomnę jednego spojrzenia. Śród katorżników był jeden inteligentny, niejaki Kozyrew, z Moskwy, zesłany za przestępstwo dyscyplinarne.

Twarz sympatyczna. Lecz co za dziwne, co za straszne spojrzenie!

Takie spojrzenie ma zapewne tonący, gdy po raz ostatni wynurzy się z wody i nie znajdzie nic, czego mógłby się chwycić, nic, oprócz fali dokoła. Rozpaczliwie zatoczy on wzrokiem i w milczeniu idzie na dno, bez walki:

— Oby już prędzej!

Ciężko patrzeć w te oczy. A jakże ciężko musi być takiemu człowiekowi!

Śród kajdaniarzy są dezerterzy, recydywiści i pozostający pod śledztwem.

— Ty za co?

— Z powodu podejrzenia o zabójstwo.

— Ty?

— Za kradzież.

— Ty?

— Z powodu podejrzenia o zabójstwo.

„Z powodu podejrzenia"... „z powodu podejrzenia"... „z powodu podejrzenia..."

— A ty za co?

— Za zabójstwo dwu ludzi!— odpowiada skazaniec śmiało, pewnym, stanowczym głosem.

— Jest to osiedleniec!—wyjaśnia inspektor —odbył katorgę i teraz znowu zamordował.

— Kogo?

— Towarzyszkę życia i dozorcę.

— Z jakiegoż powodu?

— Zaczęła się bałamucić. „Pójdę do dozorcy, z nim będę żyła, co mi po tobie, osiedleńcu, katorżniku!" „Łżesz— mówię nie pójdziesz." Prosiłem, modliłem, zaklinałem na Boga. I możeby nie poszła. Ale dozorca przyszedł i zabrał ją. „Zaprowadzę — mówi—do posterunku."

„Ty z nią źle się obchodzisz, bijesz."

— Kłamiesz—mówię—ty, dusze etyopska. Palcem jej nie tykam. Nie oddam ci jej. Nie masz żadnego prawa odbierać mi jej!—„Nie pytam się o to—odpowiada mi.—Ubieraj się, chodź! Co się tam na niego oglądać." Ostrzegałem go: „nie rób tego, bo będzie źle."—„Pogróż jeszcze! W kozie zapewne dawno już nie siedziałeś. Tylko słowo powiem, a znowu tam się dostaniesz!" Zabrał ją i poszedł...

Osiedleńca wzburza samo opowiadanie.

„Poprowadził ją, a mnie w głowie się zakręciło. „Zaczekaj!" —myślę. Wziąłem strzelbę. Oni szli drogą, ja zaś przez tajgę ścieżką, wyprzedziłem ich przyczaiłem się i zaczekałem. Widzę, idą, śmieją się. Ona zęby do niego szczerzy... Tam ich zamordowałem. Najpierw jego, żeby widziała, a potem ją."

Po zabiciu okropnie się pastwił nad trupami. Pokrajał nożem. Cały swój ogrom gniewu, całą gorycz krzywdy w ten cyniczny sposób wyładował.

„Nie pamiętałem wtedy, co robię. Rad tylko byłem, że się jemu nie dostała... Bo też ciężko było!"

Osiedleniec jeszcze młody, z twarzą dobroduszną. Ale gdy opowiada, w oczach świeci dużo energii i stanowczości.

— Czy ją kochałeś?

— Naturalnie, kochałem. Nie zabijałbym, gdybym nie kochał...

— Wielmożny panie!—mówi do inspektora człowiek już niemłody—każcie mię wypuścić z turmy kajdanowej! Cożem ja zrobił? Oddaliłem się tylko na trzy dni. Bieda zmogła i wypiłem, oto wszystko. Dostałem wódki butelkę i pohulałem sobie. Za cóż mię trzymacie?

— Łżesz, niegodziwcze, ucieckniesz!

— Boże, po co mi uciekać? Cóż mi w turmie nie dobrze, czy co? Sami raczycie wiedzieć; byłoby źle, zażyłbym tojadu i koniec. Sami wiecie, wielmożny panie, nic lepszego być nie może. Tojad jest środkiem najpierwszym.

— Czy długo będą mię tutaj trzymali?—ponuro zapytuje inny. — Czy długo — pytam?

— Jeszcze śledztwo nie skończone.

— Przecież już czwarty rok tutaj siedzę, duszę się! Czyż długo cierpieć tak będę? Przecież ja się przyznaję...

— Cóż z tego, że ty się przyznajesz? Śledztwo przecież jeszcze nie skończone.

bycie, tem przyrost zaludnienia jest mniejszy. N. Zelandya, ten kraj wybrany feministek i socyalizmu państwowego, prześcignął pozostałe kolonie: przyrost roczny w r. 1871 wynosił tam 4,0%, w r. 1881 spadł on już do 3,8%, wreszcie w r. 1896 do 2,7%!

Każdy więc okres dziejów społeczeństwa angielskiego posiada odmienne prawo wzrostu zaludnienia, przyczem stopa przybywania liczby mieszkańców nie znajduje się w żadnym związku ze stopniem rozwoju sił wytwórczych. P. Leroy-Beaulieu przypuszcza, że to samo zjawisko obowiązuje także inne narody cywilizacyi nowoczesnej: wszystkie one przeszły już przez okres zbyt szybkiego wzmagania się ludności. Francya swojem wyludnianiem jedynie wskazuje drogę dążeniom, właściwym obecnej dobie historycznej, i przoduje rozwojowi stosunków. Opierając się na poszukiwaniach statystycznych Włocha Bodio, ekonomista francuski usiłuje wykazać, że stopa przyrostu spada u wszystkich ludów Europy, przyczem zaznacza, iż nawet w tem samem państwie każda dzielnica odznacza się innemi tendencyami. „Zmniejszenie się płodności śród ludów cywilizowanych w chwili obecnej, w porównaniu ze stosunkami, istniejącymi na początku stulecia XIX i nawet ku jego środkowi, możemy uważać za fakt ogólny, jeśli nie powszechny. Istnieje tylko jeden wyjątek— Rosya, która co do warstw wyższych posiada zwyczaje europejskie, ale której lud znajduje się na innym poziomie kultury." Wobec tego trzeba z wielką ostrożnością dawać posłuch wszelkim przepowiedniom, które na podstawie nieznacznego przeciągu czasu probują wyznaczyć przyszłe losy rozmnażaniu się ludzi. Stosunki mogą przybrać tam taki charakter, że wróżby, oparte nawet na faktach najdokładniej zbadanych, okażą się mylnemi. Przyszłość zada kłam przedewszystkiem wszelkim wygórowanym obliczeniom, twierdzącym, że zaludnienie globu wzrośnie do kilkudziesięciu miliardów głów. Francya znajduje się już obecnie w stanie zastoju co do przyrostu ludności; Anglia, jeśli stosunki będą rozwijały się według skali dotychczasowej, dosięgnie takiej stateczności za lat 60, Niemcy jeszcze później.

Nastręcza się pytanie o przyczynach tego, tak powszechnego zjawiska, które, zaznaczyć winniśmy, uwidocznia się z niejednakowem napięciem śród różnych warstw społeczeństwa. We Francyi np według Pawła Leroy-Beaulieu, arystokracya rodowa i plutokracya mieszczańska odznaczają się względnie największą płodnością. Tymczasem drobnomieszczaństwo zamożne i postępowi włościanie departamentów północnych oraz położonych nad Garonną, wreszcie najlepiej płatne grupy warstwy robotniczej posiadają najmniej potomków. Objaw to nawskroś demokratyczny — w tem znaczeniu, że właśnie lud, przynajmniej jego najinteligentniejsi przedstawiciele, głównie przyczyniają się wszędzie do zmniejszenia stopy przyrostu. Wyjaśnienia tego faktu trzeba szukać w ideałach i poglądach tej warstwy narodu. Stadła małżeńskie pragną dzieciom zapewnić lepsze stanowisko, niż to, w którem rodzina się znajduje. Wychowanie kosztuje, ograniczają więc oni liczbę potomków. I inne względy jeszcze doprowadzają do tego samego rezultatu, zwłaszcza na wsi. Prawa fabryczne, które nie pozwalają rodzicom wyzyskiwania pracy małoletnich, obowiązkowa oświata elementarna, zmuszająca ich posyłać dzieci do szkoły, służba wojskowa i inne jeszcze okoliczności pozbawiają rodziców wszelkich korzyści, które ciągnęli oni z dzieci w pierwszej połowie wieku obecnego. Przestało opłacać się miewać liczne potomstwo, bo dawne zyski znikły, ciężar zaś powiększył się. Wreszcie wzrost poczucia indywidualności także przyczynił się do zmniejszenia płodności. Życie nowoczesne przedstawia tyle rozrywek i przyjemności, iż mężczyzna i nawet kobieta pragną jak najdłużej korzystać ze swobody i unikać kajdan, które pożycie małżeńskie niesie z sobą. Feminizm, tj. ruch emancypacyjny kobiet, sprzeciwia się licznemu potomstwu, bo otwiera przed płcią żeńską sfery działalności, które ją dostatecznie wynagradzają za wyrzeczenie się znicza rodzinnego. Wiek, w którym kobieta wychodzi za mąż, jest coraz późniejszy. W Anglii w r. 1874 liczba kobiet zamężnych 18, 20 i 25-letnich wynosiła odpowiednio 1,55, 15,54 i 64,44% z ogólnej cyfry tych, które w tym roku wyszły za mąż. W r. 1892, tj. w niespełna lat dwadzieścia potem, powyższe rubryki spadły do 0,69, 10,22 i 59,15%. I śród mężczyzn spostrzegamy to samo zjawisko. W r. 1874 śród mężczyzn, którzy wstąpili w związki małżeńskie, młodsi nad lat 20 stanowili 3,17%, mający zaś 20—25 lat wieku — 52%; w lat dwadzieścia później liczby te wynosiły tylko 1,94 i 44,02%.

Stopa więc przyrostu ludności zniżyła się nietylko skutkiem postanowienia rodziców niemiewania zbyt obfitego potomstwa, ale także z powodu, iż związki małżeńskie bywają zawierane w wieku coraz późniejszym, gdy siły rozrodcze kobiety są mniejsze.

J. W.

LITERATURA I SZTUKA.

O TWÓRCZOŚCI.

Samotność nie jest przyczyną twórczości, lecz niezbędnym jej warunkiem. Człowiek w społeczeństwie jest jak pączek, który mógłby rozwinąć swe listki i w promieniach słońca dać krzew i drzewo — ale, niestety, tuż obok tłoczą się inne pączki, cisną wzajemnie na siebie i powstrzymują wzajemnie swój wzrost. Pożycie społeczne jest dla jednostek wzrostem powstrzymanym na pewnym stopniu.

Życie dobrego obywatela powinno być tak jasnem i przezroczystem, iż wszystko w niem naprzód przewidzieć i przepowiedzieć można. Jest on jak roślina znajdująca się pod szkłem w cieplarni, i ogrodnik doskonale zna naprzód wszystkie fazy jej rozwoju. Zaiste, ściany naszych domów i naszych dusz są dla społeczeństwa przezroczyste. Jesteśmy wszyscy niby pod kloszem szklanym. Zakres naszej swobody nie przekracza tej, którą ma wiewiórka biegająca po swej klatce. Ilość ruchów możliwych wkrótce wyczerpana zostaje i wówczas zaczyna się powtarzanie. Cóżbyśmy rzekli o drzewie, któreby nie mogło porzucić gałązek nieprzewidzianych przez jakiś regulamin? — Iż wzrost jego jest powstrzymany.

Gdy człowiek wchodzi w społeczeństwo i zajmuje w niem stanowisko, tworzy się równowaga między nim i innymi i ono pozwala mu poruszać się tylko w określonych, naprzód znanych granicach. Iść naprzód przy tych warunkach można tylko wówczas, gdy się jest w stanie wlec je za sobą. Inaczej jest „obcina nazbyt wyrastające kłosy." A wlec za sobą cały ten ciężar jest rzeczą prawie niemożliwą. I dlatego postęp odbywa się tak wolno.

Ciśnienie społeczne wyraża się bądź materyalnie — odcięciem środków żywności, karą itd.—bądź moralnie, obawą, którą wzbudza, śmiechem, opinią, spojrzeniem, przywiązaniem. Wszystkie te siły moralne są tylko przetworzeniem sił pierwotnie fizycznych: śmiech jest grą szczątkowych mięśni, które niegdyś służyły do napaści; są spojrzenia, nieustępujące dotkliwością ciosom sztyletu; opinia jest ruchem mięśni gardeł, którym tłum wiąże jednostkę tak samo, jak niegdyś wiązał ją ruchem mięśni rąk i ciał. Ale z pośród wszystkich węzłów, które nas krępują, niema potężniejszych nad węzły przywiązania. Człowiek, mający wielu przyjaciół, staje się jak dziecko w powijakach. Każda grupa, każde towarzystwo, do którego należymy, stanowi natychmiast ścianę, zasłaniającą nam pewne horyzonty. Wszystkie więzy można targać, tylko nie więzy przywiązania: tą drogą tłum przenika w samą fortecę naszego ja i czyni nas słabymi i bezbronnymi, jak dzieci.

Jak pokazuje sam wyraz „przywiązanie," uczucie to jest najpotężniejszym środkiem, za którego pomocą tłum nakłada na jednostkę swe kajdany i poddaje swej potędze.

Warto zauważyć, iż źródłosłów „przywiązanie" jest ten sam, co i „więzienia": kto wie, jakich środków stado pierwotne używało, aby wywołać w krnąbrnych swych członkach „przywiązanie"? Wszystkie to środki ciśnienia duchowego wywołują w nas pewne krystalizacye psychiczne, a także pewne zmiany w tkankach mózgu — ślady, odciski jarzma społecznego. Wyjść z równowagi raz zajętej trudno nietylko dzięki ciśnieniu zewnętrznemu, ale także dzięki tym przystosowaniom wewnętrznym, które należałoby zerwać i zmienić, gdyż tylko za tę cenę może odbywać się wzrost duchowy.

Wszelki wzrost jest niszczeniem dawnych tkanek, tj. boleścią, która trwa dopóty, dopóki na ich miejscu nie utworzą się nowe. Otóż zrywać przyzwyczajenia tych dawnych tkanek nie każdy się ośmieli, przed bólem uciekamy, pozostajemy już raczej na raz zajętem miejscu. I dlatego pożycie społeczne jest wzrostem powstrzymanym. Jesteśmy każdy, jak pączek nierozwinięty.. W każdym z nas drzemie i szemrze wiele stron niewypowiedzianych. Zaiste, większość nas umiera dorosłemi dziećmi, kładą nas do grobu w powijakach.

Różne jednostki rozmaicie się zachowują względem ciśnienia środka otaczającego. Są pączki ludzkie, zawierające mało żywotności, nie pragną one rozwoju; niema w nich tej energii wewnętrznej, która rozpycha wszystko naokoło i dąży ku słońcu. Są zadowolone, które nie domyślają się nawet, że i w nich także być może cały świat nieznany zamiera, a jeżeli się domyślają, to przyjmują los swój z rezygnacyą, co najwyżej liczą na to, iż dzieci ich wypowiedzą to, czego oni sami wypowiedzieć nie zdołali. I są jak ul szklany, gdzie wszystko jest regularne, powtarza się bez zmiany z pokolenia na pokolenie i gdzie wzajemnem ciśnieniem wszyscy skazani są na wegetacyę i częściowe kalectwo.

Jeżeli jednak w tłumie znajdzie się jednostka o większem skupieniu energii, to energia ta albo objawia się na zewnątrz, albo też przybiera charakter ukryty. Geniusz przedstawia nam zwykle jeden z tych dwu wypadków: w pierwszym mamy otwarty zatarg z tłumem, który zwykle dla geniusza fatalnie się kończy i dlatego on często udaje, iż godzi się znosić ciśnienie społeczne, ale wówczas praca wewnętrzna go nurtuje i zagryza. Właściwie mówiąc, jest to wyjście najgorsze, gdyż prowadzi nie do wzrostu normalnego, lecz do rozkładu i zepsucia. Prawdopodobnie organizm ludzki nie znosi energii w stanie ukrytym: po przekroczeniu pewnych granic ona domaga się wyładowania na zewnątrz. Jeżeli ciśnienie społeczne na to nie pozwala — a ono może pozwolić tylko w bardzo małym stopniu —

organizatorom potrzebę przekształcenia szkoły obecnie otwartej na właściwszą, według wymagań życia.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dary pp. Wawelberga i Rotwanda

Warszawa jest niewątpliwie jednem z najdobroczynniejszych miast. Tą zaś swoją cnotą w świecie przypomina ona artystę, który nie mając rąk, maluje nogami. Inne miasta posiadają w swym ustroju mnóstwo organów, za których pomocą społeczeństwo wykonywa czynności miłosierdzia; nam tych organów brak, więc je zastępujemy ofiarnością prywatną. Bezustannie krążą między nami skarbonki rozmaitych orędowników niedostatku, zbierających datki dla uczniów na wpisy, dla ubogich na chleb i odzież, dla wdów, sierot, starców, kalek, dla sponiewieranych przez los i złamanych nieszczęściem, dla ubogich talentów, dla filantropijnych instytucyj — a na wszystko to niezamożna Warszawa daje, daje bez nacisku i szemrania, daje bez odpoczynku w objawach dobrego serca. Zaledwie odszedł jeden kwestarz, który dostał kilka rubli dla dzieci po świeżo zmarłym nauczycielu, wchodzi drugi, który przedstawia okropne położenie ubogiego studenta, za nim trzeci, który opisuje rozpacz obarczonego rodziną oficyalisty bez zajęcia, dalej czwarty, piąty — i niejeden dzień tak upływa, że od rana do wieczora w domu, na ulicy, w biurze, w teatrze, w zebraniu towarzyskiem, ciągle ktoś zwraca się do nas z prośbą o wsparcie dla jakiejś nędzy. A dodać trzeba, że ta sfera czynnego miłosierdzia ogranicza się do warstw średnio zasobnych lub nawet niezamożnych, ogarniając tylko nieliczne jednostki klas bogatych.

Na tym gruncie, przesiąkłym głęboko uczuciami miłosierdzia, zastępującego niezorganizowaną filantropię publiczną, musiały wyrosnąć charaktery i objawy ofiarności wielkiego stylu. I rzeczywiście w ostatnich latach społeczeństwo nasze ujrzało w swem łonie kilku ludzi niepospolitych i otrzymało od nich kilka darów wspaniałych. W świeżej pamięci mamy Suchodolskiego i Czabana, oraz ich zapisy. Po najwyższe wszakże wawrzyny w tej zasłudze sięgnęli pp. Wawelberg i Rotwand. Nazwiska te od pewnego czasu opinia publiczna oprawia jak klejnoty w zdumienie, połączone z szacunkiem. O ile szacunek płynie z uznania dla moralnej wartości czynów, o tyle zdumienie dotyczy ich społecznego źródła. Świat wogóle nie przywykł odnajdywać czułych serc w piersiach bankierskich. U nas do tego powszechnego przekonania dołącza się jeszcze niewiara i niechęć rasowo-społeczna, oraz stare nałogi kastowe. Szlachetny nieszlachcic, pomimo że staje się typem coraz częstszym, jest ciągle przedmiotem zdziwienia.

Jestem najszczerzej przekonany, że główna pobudka, skłaniająca pp. Wawelberga i Rotwanda do imponujących darów dla społeczeństwa, tkwi w ich obywatelskim rozumie i sercu, oraz że w niej poczerpnęliby oni dostateczną siłę do swych szlachetnych czynów. Zdaje mi się wszakże, iż obok owej głównej sprężyny działa w ich woli inna — chęć podniesienia w oczach ogółu tej sfery społecznej, do której należą, a zniżenia tej, która wyzyskuje swoje przywileje dla własnych jedynie interesów z zupełną niedbałością o powszechno. Innemi słowy — zdaje mi się, że oni za pośrednictwem swych ofiar mówią do społeczeństwa: my, których nie obowiązuje żadna „noblesse,“ których uważacie za obcy piasek, nawiany z pustyni, których byle reporter wykreśla z ksiegi uprawnionych obywateli i albo wysyła z kraju, albo oddaje pod ścisły nadzór; my, którzy nie tworzyliśmy tuziemnej historyi i nie rodziliśmy się z gotową aureolą szlachectwa, my tej „przybranej“ ojczyznie służymy i wywdzięczamy się tak; jeśli zaś nasza służba jest niedobra, a nasza wdzięczność za mała, niechże wasi wybrańcy dadzą przykład lepszej i większej. I odbywa się dziwna licytacya zasług, w których jedna strona milczy, pokrywając wstyd skąpstwa i egoizmu nadrabianą dumą, a druga coraz wyżej podnosi cyfrę swych zaofiarowań. Pp. Wawelberg i Rotwand rzucają w otchłań naszych potrzeb społecznych tysiące rubli z takim pośpiechem, jak gdyby ją sami zapełnić chcieli. Jeszcze nie przebrzmiały echa uroczystości otworzenia założonej przez nich i uposażonej kosztem 200,000 rs. szkoły technicznej (Mittego), a już pisma donoszą o nowym darze 300,000 rs. na dom dla rzemieślników i robotników, z taniemi mieszkaniami. Dwie te fundacye nietylko wysokością nakładu pieniężnego zajmują w szeregu dobrodziejstw pp. Wawelberga i Rotwanda najważniejsze miejsca. Średnia bowiem szkoła techniczna (kształcąca pomocników inżenierów i zwracająca wychowańców głównie w kierunku uzdolnień praktycznych) czyni zadość bardzo pilnej potrzebie naszej. Bezwątpienia pożądaną jest wielce politechnika z wyższą skalą wykładów teoretycznych, w którejby znalazła wiedzę młodzież nasza, rozproszona po zakładach niemieckich, z których ją wypierają, lub daremnie cisnąca się do instytutów w Cesarstwie, gdzie miejsca dla niej niema. W tych ostatnich corocznie powtarza się fakt, że do paruset miejsc dobijają się tysiące kandydatów. Wszakże, jakkolwiek trudno ściśle odważać potrzeby społeczne i wyznaczać pierwszeństwo jednym przed innemi, mniemamy, że średnia szkoła techniczna ma dla nas większe znaczenie, gdyż zawsze czuliśmy dotkliwszy brak ukształconych pracowników, niż kierowników. Inżenierów nam starczy, ale majstrów, ludzi doskonale obznajmionych z jakimś działem pracy fabrycznej, posiadamy za mało i ciągle sprowadzamy z za granicy. Nadto gdy szkolnictwo jakiegoś kraju nie ma stopni pośrednich, wówczas część młodzieży nie kształci się wcale, część zaś pnie się na wyższe szczeble wbrew swoim uzdolnieniom i środkom. Ponieważ u nas istniały tylko gimnazya, a w Cesarstwie instytuty technologiczne, więc ci, którzy nie mieli środków lub nie mogli wytrzymać egzaminu konkursowego, wchodzili w życie wykolejeni, nieraz złamani. Dodać wreszcie należy, że zakłady szkolne wywierają wpływ nietylko na dzieci, ale także na rodziców. Nieje-

---

— Ależ ja sił już nie mam!..

— Wielmożny panie! Cóż to za ziemniaki dali? Jeść nie można! Na Wielkanoc zamiast mięsa, rybę dano!..

Wychodzimy.

— Proszę mnie wypuścić!

— Wielmożny panie, czy długo?.. Wielmożny...

Inspektor zamyka drzwi na dużą kłódkę.

Z po za drzwi zamkniętych dochodzi gwar rozmowy.

Korsakowskie więzienie kajdanowe jest jedno z najbardziej ponurych i najsmutniejszych na Sachalinie.

Stoimy obok niedoli ludzkiej. A niedoli trzeba wysłuchać sercem.

Wtedy można posłyszeć w tej „zwierzęcości“ wiele dźwięków ludzkich, w „złości“ dużo cierpienia, w „cynicznym“ śmiechu — dużo rozpaczy...

Przez brudne podwórze więzienia kajdanowego przechodzimy do oddziału więźniów „na poprawie.“

„Więzienie wolne.“

Ludzie przy pracy.

W więzieniu pozostali tylko: starsi zamiatacze cel, ludzie wynoszący kubły — wogóle „urzędnicy,“ jak ich humorystycznie nazywa katorga. Zamiatają, skrobią, czyszczą, porządkują. Bielą wszędzie.

Z jodły robią bardzo malownicze girlandy i ubierają niemi ściany.

Oczekują przyjazdu władzy. Naturalnie, wtedy więzienie nie będzie tak wyglądało, jak obecnie w warunkach zwyczajnych, codziennych.

Wszystkie więzienia na Sachalinie przypominają domy noclegowe, najlichsze, najbrudniejsze, gdzie się zbierają odpadki nędzy miejskiej; gdzie nigdy nie zagląda policya; gdzie nikt się nie troszczy ani o powietrze, ani o czystość, ani hygienę.

Brudne, ciemne okna dają mało światła. Tapczany, pośrodku każdego „numeru,“ na dwie strony. Prócz tego przy ścianach.

Brud taki, że nożem można skrobać. Żadnem mydłem odmyć niepodobna.

Podczas mycia podłóg zdejmują jedną deskę i brud ścieka pod spód.

Trafiamy akurat na taką chwilę.

— Ach, świnie, świnie! — kiwa głową dozorca, jak gdyby temu istotnie były winne tylko „świnie.“

Próbuję laską. Na pół łokcia zanurza się w rzadkiem błocie pod podłogą.

Na tem błocie stoi więzienie. Tymi wyziewami oddychają ludzie.

— Bardzo, bardzo złe więzienie — mówi inspektor. Teraz jeszcze jako tako; tylko wilgoć. Ale zimą — chłód. Źle, źle, źle, bardzo źle!

Prawie w każdem więzieniu można znaleźć w numerach skrzypce. Wiszą zazwyczaj na przedniej ścianie, gdzie więźniowie umieszczają wszystko, co jest najcenniejszego: obrazy, lepsze ubranie. Przy tej ścianie stoi także osobne łóżko z pościelą, stosunkowo czystą, należącą do starszego, który jest zawsze schludnie ubrany.

Skrzypce — to ulubiony instrument katorgi.

Pamiętam, opowiedziałem jednemu z więźniów tę scenę z „Domu martwego,“ gdzie Dostojewski opisuje, jak próżnujący skazaniec na katordze najął skrzypka i ten przez cały dzień chodził za nim i grał nieustannie.

Mój słuchacz jak gdyby nawet ucieszył się:

— Oto właśnie, dla tego samego! Zechce ktoś pohulać sobie! Ten pan prawdziwie opisał.

— Ale przecież on opisywał dawne czasy.

— Wszystko jedno — i teraz to samo. Skrzypce, to pierwsza rzecz w zabawie. Wesoły instrument.

W jednej izbie wisiały obrazy, robione przez skazańca Babajewa. Wyobrażały one generałów, jadących konno.

— Gdzież sam malarz?

— Na odwachu siedzi. Trzymany jest w odosobnieniu.

— Ot, wezmę jeden obraz, masz rubla, oddaj Babajewowi. Przyda mu się na herbatę, cukier i tytoń.

Dałem umyślnie, ażeby się przekonać, czy odda on te pieniądze towarzyszowi, jeszcze bardziej cierpiącemu.

— Pamiętaj, oddaj!

— A jakże!

Nie oddał. (C. d. n.).

den ojciec — zwłaszcza w społeczeństwie tak niezdemokratyzowanem, jak nasze — uważałby poprostu za klęskę rodzinną zwrócenie syna na drogę, niewiodącą do najwyższych tytułów i urzędów techniki — zrobienie zeń np. majstra, a nie inżeniera. Dziś, gdy ten ojciec widzi wspaniały gmach, a w nim katedry i pracownie naukowe, gdy naocznie przekonywa się, że przyszły zawód jego syna posługuje się również rozległą wiedzą, patrzy on na tę sprawę całkiem inaczej. Szkoła Wawelberga i Rotwanda, łącznie ze szkołą Święcimskiego i niższemi rzemieślniczemi, tworzy już bardzo piękny zrąb wykształcenia technicznego w kraju.

Jest rzeczą niezmiernie ciekawą i pouczającą, jak w naszej epoce rozmaite żywioły i stronnictwa dążą w jednym kierunku — poprawy losu robotników, często nie uświadamiając sobie zupełnie istoty tych myśli i dążeń. Zdaje mi się nieraz, że każde z nich czyni coś innego, a one tymczasem wszystkie ulegają żelaznej logice rozwoju stosunków, „duchowi czasu," stałej i niezłomnej sile powszechnego ciążenia do pewnego punktu. Pp. Wawelberg i Rotwand po złożeniu ofiar dla literatury i oświaty, uczuli potrzebę, której dziś żaden rozumny i uczciwy człowiek zagłuszyć w sobie nie może — potrzebę obdarowania najgodniejszych opieki. Przeznaczyli więc 300,000 rubli na dom z taniemi mieszkaniami dla robotników i ubogich rzemieślników. I za ten dar hojnym filantropom należy się wdzięczność, sądzę jednakże, że oni są za niego wynagrodzeni już samem zadowoleniem, płynącem z dokonywenia wielkich czynów społecznych. Ile razy dowiaduję się o nowej ich ofierze, zawsze przychodzi mi na myśl: jak ci ludzie są szczęśliwi, mogąc to czynić! Chyba nie mylę się, przypuszczając, że twórcy szkoły technicznej i domu dla robotników doznają niéopisanej rozkoszy po każdym akcie swej filantropii, że serca ich biją uczuciami wielkiego wesela, że ich życie promienieje dziwną jasnością. Kogo rozdziera pragnienie i niemoc poświęceń, kto targa się w daremnym wysiłku pomagania innym, ten oceni takie szczęście, ten umie jego ulubieńcom zazdrościć.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

PRZYROST ZALUDNIENIA W EUROPIE.

Hodowla mężczyzn, *viriculture* — najnowsza praca ekonomisty G. de Molinari'ego nosi taki nagłówek — stanowi od lat kilku przedmiot nieustającej troski dla publicystów francuskich. Francyi nie przybywa zaludnienia. Były nawet lata, w których liczba wypadków śmierci przewyższyła cyfrę urodzeń. Politycy i ekonomiści, zatrwożeni widmem wyludnienia, poszukują środków, które zachęciłyby rodaków do miewania dzieci, a raczej chłopców, bo chodzi głównie o mężczyzn, jako przyszłych żołnierzy, robotników itd. Pod wpływem troski sporo książek i drobniejszych rozpraw, poświęconych tej kwestyi, ukazało się w ostatnich czasach we Francyi. Zainteresowanie przedmiotem ujawniło się jeszcze w inny sposób: piśmiennictwo ekonomiczne francuskie przyswaja sobie pospiesznie każdą rzecz w obcym języku, rozpatrującą prawa zaludnienia.

W liczbie prac tego rodzaju jest dużo przyczynków bez wartości naukowej, jeszcze zaś więcej usiłujących odsłonić rąbek tajemnicy, pokrywającej przyszłe koleje rodu ludzkiego — na podstawie doświadczenia dotychczasowego. Niekiedy możemy tu spotkać proroctwa bardzo karkołomne. Belgijczyk Brialmont przepowiada, że za lat 386 glob ziemski, zamiast półtora miliarda głów ludzkich, obecnie na niem istniejących, będzie zawierał 27, a ponieważ mniema on, że nie starczy na to środków pożywienia, przeto już zawczasu spogląda z trwogą na losy, oczekujące naszych dalekich potomków. Inni znowu, przypuszczając na podstawie faktów podejrzanej ścisłości, że rasy żółta i czarna mnożą się z większą szybkością, niż biała—dowodzą, iż w ciągu paru wieków fizyognomia rasowa naszej planety ulegnie zupełnemu przeinaczeniu: współzawodnicy egzotyczni, zwłaszcza rasa żółta, zaleją lądy i zajmą na ziemi stanowisko przodujące tylko dzięki liczebności swojej.

Zaznaczamy tylko istnienie takich płodów wyobraźni, bo nie można brać ich poważnie, ani zastanawiać się szczegółowiej nad niemi. Natomiast winniśmy wskazać fakt inny, bardzo znamienny, że Francuzi, wogóle tak powierzchowni, gdy chodzi o zagadnienia ekonomiczne, odznaczają się najgłębszem zrozumieniem istoty rzeczy. Okoliczność to zgoła zrozumiała. Ojczyzna ich niegdyś posłużyła Malthusowi za wzór dla wykazania prawdziwości poglądu, iż ludność wzrasta szybciej, aniżeli środki utrzymania. „Zawsze we Francyi znajdowało się dużo drobnych osad i drobnych właścicieli — pisze ekonomista angielski. — Taki stan rzeczy nie zbyt sprzyja wzrostowi czystego produktu i bogactwa narodowego, ale niekiedy podnosi on rozmiary dochodu brutto i zawsze zachęcająco działa na przyrost ludności." I właśnie ów kraj klasyczny, skąd czerpano dowody na poparcie twierdzenia o rozdźwięku pomiędzy liczbą żołądków do wyżywienia a ilością wiktuałów, jest dzisiaj widownią dążeń, zaprzeczających powszechnie uznanym doktrynom ekonomicznym. Fakta rozwoju społecznego Francyi podważyły tam teoryę Malthusa, która przez tyle lat i tak wszechwładnie panowała nad umysłami. Okazało się, iż zamiast żelaznego prawa przyrody, panującego nad wszelkiemi miejscami i wiekami, każda epoka posiada dążenia, właściwe tylko sobie, i że z nieznacznego przeciągu dziejów ludzkich niepodobna przewidzieć dalszej przyszłości, bo zbywa na wszelkim materyale.

Uwagi powyższe nasunęły się nam podczas czytania rozprawki P. Leroy-Beaulieu *). Autor jest przedstawicielem kierunku, wykazującego względność wszelkich uogólnień, dotyczących przyrostu zaludnienia. Stosunki francuskie dały mu klucz do odcyfrowania takiego charakteru praw, rządzących tą sferą zjawisk społecznych, i uzdolniły do zajęcia stanowiska szerszego i krytyczniejszego, mianowicie, że wszelkie co do tego uogólnienia posiadają doniosłość tylko czasową.

Leroy-Beaulieu usiłuje przedewszystkiem wykazać, że teorya Malthusa nawet co do Anglii, w której powstała, nie ogarnęła całości jej dziejów ekonomicznych, lecz poprzestała tylko na pewnym okresie. Ekonomista angielski ogłosił jako prawo bezwzględne to, co widział we własnem otoczeniu. „Większość ludzi posiada umysł, tak dalece wrażliwy na fakty bieżące lub przynajmniej świeżo zaszłe, że patrzy na nie jako na wyraz normalnego i wiecznego biegu zdarzeń. Z tego, iż zaludnienie w ciągu ostatniego wieku wzrosło bardzo znacznie w Europie zachodniej, wyciągnięto wniosek, że w normalnym stanie powinno ono zawsze tak wzrastać i że zwolnienie lub zatrzymanie tego wzrostu jest podważeniem naturalnego rozwoju społeczeństw. Tymczasem, jeśli zechcemy zastanowić się głębiej i porównać stosunki, ujrzymy, iż bardzo szybkie zwiększanie rozmiarów liczebnych każdego z narodów europejskich przedstawia zjawisko nowe, właściwe tylko schyłkowi w. XVIII i czasom obecnym. Wieki poprzednie nie znały nic podobnego."

Zatrzymajmy się nad Anglią.

Ku schyłkowi w. XVI Anglia liczyła około pięciu milionów mieszkańców, w końcu zaś w. XVII miała zaledwie sześć milionów, tj. w ciągu całego stulecia zaludnienie jej podniosło się tylko o 16—17%. W drugiej połowie w. XVIII rozpoczyna się epoka wynalazków technicznych i przełom ekonomiczny ogarnia kraj wyspiarski. Sprzyja to rozmnażaniu się, bo ludność w ciągu jednego stulecia, osiemnastego, wzrosła o 45%. Wreszcie przyrost, który zaszedł w wieku obecnym, wynosi 260% i nawet 280%! Mamy więc dla tego samego kraju cyfry bardzo odmienne, od 16% do 280%. Malthus streścił w swojem uogólnieniu tylko jedną fazę rozwoju Anglii. „Fakty, przynajmniej w ciągu lat 50, popierały założenie Malthusa. Zaludnienie w ojczyźnie jego, oraz wśród innych narodów cywilizowanych, wzrastało z szybkością, poprzednio nieznaną. Może ten przyrost liczby stworzeń ludzkich nie prześcignął równoległego postępu środków utrzymania i wytworów pożytecznych dla człowieka, lecz bądź co bądź przeszkodził, w pewnej mierze, ażeby każdy członek narodów cywilizowanych korzystał z udoskonalenia sposobów produkcyi tak, jak można było oczekiwać." Autor francuski usiłuje wytłomaczyć tę rozmaitość przyrostu za pomocą warunków społecznych. Ludność Anglii w wiekach XVI i XVII składała się z włościan, przemysł ograniczał się rzemiosłem. Warstwy włościańskie i rzemieślnicze odznaczały się powściągliwością i rozwagą w zawieraniu związków małżeńskich. Dopiero rozwój wielkiego przemysłu stworzył tłumy, niedbałe o przyszłość swoją i swego potomstwa. Co więcej, liczne potomstwo było dla robotnika w pierwotnej chwili błogosławieństwem: wysyłał je do fabryki i pobierał zarobek ich pracy. I prawa o pomocy dla biednych — *poor laws* — sprzyjały takiemu rozmnażaniu się. Zapomoga, dawana za każde dziecko dodatkowe, była tak znaczna w porównaniu ze wsparciem, które dorośli otrzymywali, że im więcej dzieci ktoś posiadał, tem lepszem było jego położenie, dzieci zaś nieprawe otrzymywały więcej, niż prawe. Lecz i to szybkie rozmnażanie się było tylko czasowe. Zwrot w kierunku odwrotnym nastąpił już od lat kilkunastu. Po okresie niepowściągliwego rozmnażania się, właściwego tłumom niezabezpieczonym i zrozpaczonym, nadszedł okres spadku stopy przyrostu. Przyrost ten w ciągu ostatnich lat dwudziestu wynosi (z tysiąca):

	1874—1876	1896
Anglia z Walią	36,4%	30,5%
Szkocya . . .	35,6%	
Irlandya . . .	26,0%	23,0%

P. Leroy-Beaulieu przypisuje to zjawisko działaniu Trades-unionizmu. „Ideał demokratyczny, jakiemu te związki hołdują, polegający na podniesieniu stopy zarobków, zmniejszeniu liczby uczniów i zajęciu przez robotników stanowiska burżuazyi, stoi w sprzeczności z płodnością. Robotnik angielski stara się zdjąć z siebie ciężar zbyt licznej rodziny. Trades-uniony coraz bardziej rozpowszechniają duch taki wśród warstwy panującej." I dodajmy, że ten sam objaw rzuca się w oczy także w koloniach wielkobrytańskich: im któraś dzielnica zamorska posiada urządzenia demokratyczniejsze, im tłumy znajdują się w lepszym dobro-

*) „La question de la population" w *Revue des deux Mondes*, Październik.

mamy cały szereg objawów chorobliwych, wywoływanych przez hypokryzyę. Kto długo kryje się za maską, temu nietylko grozi rozdwojenie lub rozproszenie osobowości. Niektóre twarze ludzi zdolnych są nader zdradzieckie w swej wymowności. Twarz jest zwierciadłem duszy: otóż jeżeli jej mięśnie muszą odpowiadać dwojakiego rodzaju impulsom, często sprzecznym, tym, które wyrażają ich życie wewnętrzne i tym, które wyrażają przystosowanie do wymagań społecznych, otrzymujemy obrzękłość, zmarszczki, nerwowość. Oto czemu inteligencya zabija zwykłe piękno w społeczeństwie.

Kiedyś fizyologia wykaże nam prawdopodobnie wszystkie klęski wewnętrzne, wywoływane przez hypokryzyę, która jest często oznaką ukrytej siły, obawiającej się wystąpić na jaw. Geniusz, znajdujący się na tej drodze, skazany jest w całości lub w części przynajmniej na zagładę. I dlatego w interesach jego rozwoju i wzrostu pozostaje jedna tylko droga — prawdy, nie tej prawdy objektywnej, której nie znamy, lecz prawdy osobistych popędów.

Dodajmy wszakże, iż prawda nie jest obowiązkiem, ona jest przywilejem. Wątpię, aby ktokolwiek z ludzi zdolnych, mających zwykle wszystkie instynkty haniebnie wykrzywione kłamstwem, chciał temu przeczyć.

Tylko silnym radzić można drogę prawdy — słabi skazani są na wieczne wyrzekanie się i gięcie karku. I inaczej być nie może: gdy jednostka nie chce zostać do końca swego życia pączkiem, lecz rozpuścić liście, wydobyć na światło wszystko, co w niej jest zawarte, zaczyna się niechybna reakcya naruszonej w ten sposób równowagi społecznej, która mechanicznie chce powrócić do poprzedniego stanu. Widzieliśmy wyżej, jak to się odbija materyalnie i moralnie na śmiałku: naruszona równowaga gniecie go i miażdży. I dlatego, jeżeli nie chce on być skazany na bezpłodność i na te kalectwa wewnętrzne, które wywołuje hypokryzya, musi wybrać samotność, tj. drogę prawdy i natury, a na tem właśnie polega twórczość. Ci, co w twórczości szukają czegoś innego, niż prawdy i natury *cherchent midi a quatorze heures.*

Geniusz nie jest żadną miksturą społeczną, lecz jest zjawiskiem naturalnem, jak wschód słońca, huragan lub zorza północna. Jest on dzieckiem przyrody, tak ściśle związanem z nią, że gdy wypowiada swe uczucia i myśli, odjawia tajemnice życia i prawa natury.

Wzrost naturalny geniusza jest twórczością, a samotność jest warunkiem wzrostu niepowstrzymanego. Gdy dusza jest istotnie bogata i gdy może się rozwijać normalnie, każdy jej przejaw będzie twórczością. Samotność nie jest jej przyczyną, lecz warunkiem, przyczyną jest wyższość biologiczna: chociażbyście zamknęli jednostkę z tłumu na dziesięć zamków, nie wydobędziecie z niej nic oprócz chyba sążnistej kompilacyi, jeżeli *nb.* dacie jej odpowiednią ilość książek.

I dlatego najlepszem dla tłumu jest życie stadne, a najlepszem dla geniusza — samotne. Działalność pierwszego polega na powtarzaniu starych, drugiego — na tworzeniu nowych form świadomości. Różnica ta psychologiczna ma, zdaniem naszem, głębokie podstawy socyologiczne i antropologiczne w pierwocinach ludzkości *). To, co my obecnie stwierdzamy jako gotowy rezultat psychiczny, znajduje swe ostateczne wyjaśnienie w warunkach życia i walki różnych ras ludzkości pierwotnej.

Wychodząc z ciżby, geniusz uwalnia się od ciśnienia zewnętrznego i wzrost jego staje się możliwy. Ten jednak polega na całym szeregu przewrotów wewnętrznych, na darciu dawnych formacyj psychicznych i materyalnych i na tworzeniu nowych. Faza przejściowa jest prawdziwą rewolucyą, gdy człowiek wyrzucony jest ze zwykłej swej kolei, traci grunt pod nogami i łatwo rozbić się może o każdy szkopuł życiowy. Pracom tym towarzyszy nadzwyczaj energiczna cerebracya nieświadoma, która się wyładowywa wciąż w formie intuicyi i natchnienia.

Wiadomo, iż wzrost fizyologiczny człowieka przedstawia okresy krytyczne, a przejście gąsienicy do stanu motyla jest prawdziwą rewolucyą, którą już nauka w części objaśniła. A mianowicie Roux i Miecznikow wykazali, iż we wszystkich organach zwierzęcych odbywa się ciągła walka pomiędzy komórkami i że niektóre z nich, t. zw. fagocyty—między nimi białe ciałka krwi zajmują główne miejsce—niszczą tkanki zbyt słabe, niezdolne utrzymać się w walce o byt. Przemiana gąsienicy na motyla objawia się właśnie działalnością fagocytów: wszystkie stare tkanki zostają przez nie pożarte, zniszczone, całe ciało wewnętrzne gąsienicy zamienia się na jedną miazgę i dopiero po tem zniszczeniu może nastąpić rekonstrukcya nowych tkanek.

Podobne procesy odbywają się prawdopodobnie w mózgu geniusza, gdy on rośnie i gdy na miejsce starych formacyj, dawnych kanałów ruchu nerwowego, odpowiadających dawnym poglądom, mają się utworzyć nowe kanały i nowe formacye tkanek. Krew potężnie przypływa do mózgu, fagocyty spełniają swą pracę zniszczenia, po której następuje praca syntetyczna odbudowania tkanek. Tej syntezie fizyologicznej odpowiada synteza psychiczna intuicyi i natchnienia.

Natchnienie jest prawdziwym przełomem, wybuchem mózgu, trwającym kilka godzin lub dni, ale jest wyprzedzone kilkodniowym lub kilkotygodniowym stanem rozstroju wewnętrznego, podczas którego odbywają się wszystkie procesy przygotowawcze. Jest to proces bolesny, krytyczny, niebezpieczny, ale jest to wzrost!

Wszak każde dziecko przechodzi takie przełomy wzrostu, gdy stare tkanki są niszczone i zastępowane przez inne. Można jednak zapytać, czemu ludzie normalni w wieku dojrzałym nie mają takich kryzysów, a geniusz je miewa? Wprost dlatego, że ludzie normalni, po przekroczeniu pewnego wieku, duchowo już nie rosną — że wzrost ich, dzięki ciśnieniu społecznemu, wywierającemu się od wieków, systematycznie był na pewnym punkcie powstrzymywany, że dobory społeczne pozostawiają przy życiu materyały antropologiczne gorsze, które rosną tylko do pewnego stopnia i potem się zatrzymują. Wiadomo np., iż wzrost mózgu kobiecego trwa tylko do 25 roku życia, potem się zatrzymuje, gdy wzrost męzkiego trwać może aż do 35 roku. Podobne różnice istnieją między rasami i społeczeństwo pozostawia przy życiu te, których wzrost mózgowy jest nieenergiczny i krótkotrwały.

U geniuszów natomiast — jako przedstawicieli ras wyższych — wzrost ten jest energiczny i trwać może — jak u Goethego — do lat 60, a może i 80. Są oni potomkami tych samotników, którzy niegdyś żyli zdala od ciśnienia tłumu; dlatego i sami instynktywnie starają się wyłamać z pod tej uwsteczniającej presyi.

Samotność zdobytą zostaje przez geniusza drogą ceny pokaleczeń zewnętrznych, zadanych przez społeczeństwo i rozdarć wewnętrznych. Gdyż należy wyrzec się nietylko ucisku, ale i słodkich przyzwyczajeń sympatyi i przyjaźni. Ludziom z tłumu tej drogi prawdy i natury nie można życzyć: chyba w młodości, gdyż niema żadnego wzrostu bez bólu — i to tylko o tyle, o ile po zniszczeniu starych formacyj duchowych nowe utworzyć się mogą. Po przejściu jednak pewnego wieku, zakreślonego przez rasę, wszelkie targania stają się bezużyteczne. I dlatego należy dla nich być wspaniałomyślnym i wyrozumiałym: oni skazani są na wegetacyę.

Co się tyczy geniuszów, to dla nich gra warta jest świec — dla nich droga prawdy, tj. bezgranicznego rozwoju swej osobowości jest naturalnie najlepszą, gdyż inaczej skazani są na zgnicie wewnętrzne i rozproszenie osobowości. Jest to droga krzyżowa, a jakże trudno wyrzec się tej ciepłej atmosfery, którą pożycie stadne wytwarza; ale gdy wreszcie wyjdą na wielkie przestwory duchowe, gdy rany się zagoją i w miarę wzrostu coraz szersze widnokręgi rozwierać się będą, spoglądać będą z pogardą na chleb powszedni sympatyi. Ta atmosfera społeczna wytworzona zostaje wzajemną zależnością osób słabych, niezupełnych i które tylko w tłumie coś znaczą. Ale geniusz niema tam co robić. Jego obecność zastępuje mleko tych sympatyj na żółć i kwas, jego przejście wystarcza, aby każde święto tłumu zamieniło się na smutek, a te radości i smutki tłumu wzbudzają w nim tylko politowanie. Żyje więc samotnie, zdala od ciżby i w samym sobie znajduje niezgłębione źródła rozkoszy i pojmowania.

Dr. L. Winiarski.

---

*) Por. „Samotni," *Prawda* z r. b.

LISTY Z PARYŻA.

Znaczniejsze głosy: rysownik satyryk J. L. Forain.

Nie wiem, czy gdziekolwiek częściej mógłby Rzymianin powtarzać swoje „Difficile est satiram non scribere," niż w obecnej rzeczypospolitej francuskiej. Zgon dawnych tradycyj, wszechmoc nikczemności, obłudy i chciwości, wyziębienie ducha, rządy egoizmu i tchórzowstwa, oto co bardziej przenikliwe oko łatwo dostrzeże. Niewątpliwie cechy to ujawniają się najwyraźniej wśród klasy rządzącej, ale od niej jak trąd rozchodzą się i po innych.

Jakby na potwierdzenie ogólnego zakażenia niewielu obywateli francuskich widzi złe—zarówno w stronnictwach, jak i pośród ludzi, od których można żądać wzniesienia się nad partye.

Są jednak tacy, nieliczni, ale są. Należy do nich świetny rysownik, J. L. Forain, wyposażony bystrym spostrzegawczym zmysłem i zarazem władający dowcipem ostrym, jak damascenka. Humor jego lubi odsłaniać i wnętrza życia codziennego: dowodem „Komedya paryska" (*La comédie parisienne*) wydana w 1893, ale o wiele głębsze są spostrzeżenia z bytu politycznego. Rozpraszał je w kilku pismach, obecnie wyszły zebrane w jedno pod znaczącym tytułem „Słodki kraj" (*Doux pays.*)

Zaczynają się od stycznia 1894, a dotyczą wyłącznie niemal stosunków francuskich. Kilka rysunków odnosi się do wypadków zewnętrznych, tak np. doskonałe sam-na sam Wilhelma z Bismarkiem gdzie idzie o odczytanie nowego dramatu pięcioaktowego, pióra cesarza—ale rysunki te można na palcach policzyć.

Pod złą wróżbą zaczyna się ów rok 94. Żywioły skrajne i głodne zaznaczają swe istnienie kilku zamachami. Umie Forain w tych chwilach znaleźć motyw pocieszny. Pokoj mieszczuchów—pan i pani, oboje rozmiaru kaf siedzą przy kawie. Naraz straszna wiadomość: pan został wyznaczony do sądu przysięgłych, mającego rozstrzygnąć jedną ze spraw. Odważny rycerz dostaje więcej, niż mdłości. Pada na ziemię filiżanka z kawą, pa-

da gazeta, wszczyna się krzyk i doprawdy jest niezrównany ten przestrach dwojga żarłoków, ich miny głupie i wylęknione, taki sam wyraz dorosłej córeczki, która wbiega z drugiego pokoju popatrzeć, co to.

W trzodzie i barany odważne. Jakoś komplet sędziów się zebrał i nasz bohater dał swój głos. Ale potem prędko za laskę i do domu.

— Nie spodziewaliśmy się ciebie na obiad.

— O, co tam. Spełniłem swój obowiązek... Teraz szybko kufry na dorożkę. Zmykajmy!

Jakie tu dźwięczne słowa. „Obowiązek“!... Spotykamy w kilka dni potem tego jegomościa. Spokój wrócił, okrągły brzuszek odpowiada uśmiechowi opasłej buzi.

Wypadki biegną, kurtyna odsłania się na bagno panamskie. W lasku bulońskim gracki kawaler zdejmuje kapelusz, cwałując na pięknym koniu. Na przeciwległej alei amazonka:

— Tatuś wypuszczony!.. Brak dowodów...

Albo:

Drzwi więzienne. Przy nich strażnik, otwiera okienko. Ale co za ugrzeczniona mina, co za błysk w oku!

— A więc, wielmożny panie hrabio, mogę wygrać na Saint-Ferjeux i doskonale wyjść na losach kanadyjskich?

Czemuż nie być grzecznym dla fachowych i tak utytułowanych więźniów?

W tym względzie rysunek z lutego 1896 jest jeszcze jadowitszy. Na tapczanie aresztanckim siedzi jakiś „doborowy podsądny“. Sługa wniosł dzban z wodą.

— Wy panowie jesteście wszyscy jednacy!... Pan minister Baihaut, gdy siedział w tej celi, przyrzekł mi także legię honorową.

Rządy Kazimierza Périer nic nowego nie wnoszą. „Kilku parlamentowiczów“. U dołu: pamięci Ferdynanda Lessepsa. Szereg deputowanych siedzi na ławce, w tem kłopot, że każdy pan oddzielony od sąsiada żandarmem...

A szkic „Terroryzm.“ Brygadyer stoi za bramą więzienia, woźnica podchodzi i kłania się: „Sześć godzin czekam już! Powiedzcie mi łaskawie, czy mój klient zatrzymany“?

Nareszcie noworoczne 1895: „Brudy“. Kamieniarz stoi z oskardem u brzegu Sekwany, „Maryanna“, przedstawiająca rzeczpospolitę, ugina się pod tłomokami brudów. Prawą ręką trzyma na plecach szantaż, lewą ledwie dźwiga „koleje południowe“. Kamieniarz drwiąc:

— Ostrożnie Maryanno, to zatruje rzekę.

Ładna teraźniejszość.

Niestety podobne objawy nie znikają z niej wcale. Co widzi „cudzoziemiec w Paryżu“ w lutym 1896? Wysiadł na dworcu Wschodnim, w jednej ręce kuferek, w drugiej zwinięta kołdra, laska i parasol. Wchodzi na bruk.

Przed nim staje chłopak sprzedający pismo codzienne. Pierwsza strona zadrukowana wielkiemi literami.

— Mazas. — Ministrowie złodzieje. — Przybycie Artona.

Kłamstwa polityki zewnętrznej nie obchodzą Foraina wcale. W dwu okolicznościach tylko zabrał głos. Wczasie wyprawy madagaskarskiej i wobec wypadków wschodnich.

Cyklem madagaskarskim można się pochlubić. W szpitalu pełnym leżą chorzy. Chirurg obmywa ręce po jakiejś operacyi i mówi do służącego.

— Dajcie im wszystkiego, czego zechcą —prócz pióra i papieru...

Wspominałem w swoim czasie o pięknych epizodach tej kampanii, dowiodła dużej mocno patryotycznej dbałości o ojczystą armię.

Podobnie krwawa ironia w wypadkach najnowszych. „Na wschodzie“. Sułtan myje ręce po krwi Ormian, z nagiej szabli powieszonej na ścianie spływa potokiem krew. Europa, poważnej tuszy matrona, w kwiecistym kapeluszu i modnej sukni trzyma ręcznik. No—nagli łagodnie—wytrzyj sobie ręce i chodźmy jeść obiad.

Z upodobaniem natomiast zwraca się rysownik do spraw wewnętrznych, zaczynając od warstw wyższych i schodząc do niższych. W swoim czasie wywarł wielkie wrażenie jego rysunek, odwołujący się do godności narodowej. Szło o wyjazd floty francuskiej do Kiel. Wtedy w jednem z pism zjawia się Foraina „Wystawa napoleońska.“ Na stoliku za szkłem umieszczono trójgraniasty kapelusz Napoleona. Dwóch ciekawych patrzy i jeden powiada do drugiego:

— Ot człowiek, co był w Kiel.

Naturalnie nie szczędzi przedewszystkiem stojących obecnie u steru nawy państwowej. Chcemy przyjrzeć się łączności deputowanych z ludem, to zobaczmy zajadającego przysmaki Guesde'a i strofującego górników, że nie chcą dla głodu przedłużać zmowy, w danym razie pożytecznej tylko dla „grupy radykalnej.“ Albo w „Objeździe deputowanego“ szczygodny poseł, wysiadłszy ze swej karety opodal widocznej, będzie mówił do gromadki bosonogich i obdartych: „Wasze potrzeby są mojemi, wasze dążności są mojemi! Wiem, że nie chcecie konstytucyi, wzorowanej na orleanizmie...“ Te rozkoszne kwiatki rwane w ogrodzie rzeczywistości.

Pamiętny był pogrzeb uroczysty „syna ludu,“ prezydenta Izby, Burdeau, i pamiętne późniejsze odkrycie, że ten syn miał lepką rękę. Więc jak bicz smaga odnoszący się do tego pomysł artysty. U góry przytoczone bombastyczne słowa Karola Dupuy z pogrzebu: Życie to jest nauką i zachętą dla młodych pokoleń dorastających do karyery politycznej. Oby natchnął je ów przykład.“

Pod spodem stoi pan w zakątku korytarza sejmowego. Wygląda niby przez okno, ale jedna ręka cofnięta wstecz, otwarta i niecierpliwa. W jej pobliżu bankier wydobywa notatnik, aby z niego wyjąć kilka papierów ku jej zaspokojeniu.

Ileż rzeczy, podobnie surowych i niby ostry dym gryzących aż do łez możnaby wymienić. Od dowcipu łagodnego, jak np. słowa lokaja do ministra kolonij: „Może pan minister zechce zobaczyć murzyna? To bardzo ciekawe“ albo rozmowy z Wilsonem, w której ten oświadcza, że jego pamiętniki wyjdą z przedmową Kornela Herza.

Ale chcę wyróżnić jeszcze dwa obrazki. Pierwszy: Karta wyborcza:

W lombardzie urzędnik do pary nędzarzy, zastawiających resztki mienia:

— Nareszcie... musicie mieć jakiś papier... pokwitowanie mieszkania?...

— O, już oddawna ja nie mam pokwitowań z opłaty mieszkania, ale oto moja karta wyborcza“.

Drugi: „Faisons des hommes!“

Miejmy dzieci! Nawet zawiązała się w tym celu liga. Oto plac pełen dziatwy, z przystrojonemi mateczkami, z tatusiami w czarnych surdutach. Niektóre chłopaki w stroju wojskowym. Pan minister ma zachwilę przyjechać i powiedzieć do dziatwy parę słów.

A na boku od nich policyant chwycił dwóch chłopców w koszulinach, bez kapeluszy, bosych i za kradzież wiedzie ich do aresztu...

Nie mówiłem dotąd o stronie artystycznej „Słodkiego kraju.“ Może ona zadowolić i najwybredniejszych. Forain godzien swoich poprzedników: Charlota, Daumiera, Gavarniego i wśród współczesnych, należy do najwybitniejszych. Karykaturzysta jak i satyryk muszą czasem z natury zwalczanych przez się czynników powtórzyć się, lecz duży talent w tych wirach nie do ominięcia nie tonie. Książka Foraina jest i pod względem rysowniczym kopalnią różnorodnych typów i postaci.

I okładka z satyrą rozbratu nie bierze. Przez szpaler ufraczonych parów idzie Maryanna-republika. Jakaż brzydka postać! Rzekłbyś z tłuszczu ulepione stare babsko, do tego jeszcze w pretensyach, mocno wydekoltowana, ramiona nagie.

Wtem ktoś z tych, przed którymi już przeszła, szepnął do sąsiada:

— Ktoby powiedział, że była taka piękna—za Cesarstwa.

W. Bugiel.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Ze sceny i z estrady.

Cele i zamysły naszej reżyseryi operowej są niezbadane; gdy przy końcu zeszłego sezonu teatralnego rozeszła się wieść o utworzeniu składu opery z artystów i artystek polskich, nikomu chyba nie przeszło przez myśl, że nietylko po dawnemu sprowadzani znów będą śpiewacy włoscy, ale że i opery, bez ich udziału, z pomocą miejscowych sił wystawiane, wykonywane będą po włosku. A jednak tak się dzieje—i „Rycerskość wieśniaczą“ np. śpiewają panie Strassernówna, Szczepkowska, Lewicka lub Skulska oraz pp. Sienkiewicz i Chodakowski w obcym języku — i, mając dwóch tenorów (pp. Myszuga i Sienkiewicz), wypisaliśmy sobie trzeciego z „boskiej Italii“ (p. Bonci). I gdyby jeszcze był to artysta wielkiej miary, jaki „król tenorów,“ albo — dla dopełnienia p. Myszugi, jaki *tenore di forza* — ale p. Bonci jest tylko bardzo porządnym śpiewakiem, posiadającym głos dźwięczny, po włosku zaokrąglony, dobrze postawiony, dykcyę wyraźną, a niemającym natomiast cienia temperamentu, ani żadnych zdolności aktorskich. Słucha tedy publiczność z takiem samem wrażeniem jego zaklęć miłosnych, jak i porywów bohaterskich, bo mowy jego nie rozumie, a artysta wyrazem gry tłomaczyć się nie potrafi. Powróciła też znów p. Pacini i zachwyca po dawnemu nieporównaną koloraturą, a choć wątły, kryształowego dźwięku głos jej zmężniał, że tak powiemy, chłodna jest po dawnemu i, jak dawniej, raczej wrażenie przedziwnie doskonałego instrumentu, niż krtani ludzkiej wywołuje. Przyjechał i p. Battistini i gościnę swą rozpoczyna rolą ojca w „Violecie.“ Takie tedy są nasze „gwiazdy“ śród wykonawców. A repertuar?

Ach, ten repertuar! Karą w końcu staje się dla sprawozdawcy to odwieczne zastanawianie się, która śpiewaczka lepiej idzie w zawody z fletem w scenie obłąkania z „Łucyi,“ która trafniej odśpiewa suchotniczy zgon nieszczęsnej Violetty lub wcieli się całkowiciej w postać namiętnej Santuzzy. A skoro już jest p. Battistini, to będzie pewnie można stwierdzić jaką np. jeszcze aryę z jakiej opery Donizettiego zapożyczył sobie do „Maryi Rohan,“ dla tem większego olśnienia słuchaczów swojem istotnie nieporównanem *cantabile*. Prawda, nie bądźmy niesprawiedliwymi — urozmaicono nam tę jednostajność... wznowieniem. Reżyserya wydobyła z pyłu bibliotecznego wiecznie młodo świeżością motywów i wytwornym, dowcipnym humorem dzieło Aubera — „Fra Diavolo“ — i należałaby jej się wdzięczność szczera za to prawdziwe odświeżenie 70-letnim blizko utworem repertuaru, gdyby artyści wiedzieli, *jak* śpiewać tę operę komiczną

w najlepszym stylu, publiczność zaś wiedziała, *co* artyści śpiewają.

Dzięki niezrozumiałemu językowi przepadły wszystkie efekty komiczne — bo jak się tu śmiać, kiedy nie wiadomo, o co chodzi?— dzięki ślamazarności wykonawców ról głównych, zatracił się cały charakter opery *bouffe*. P. Bonci, jako bohater tytułowy, tak już z powodu małej figurki żadnych nie ma danych na przedstawiciela legendowego zbója, że choćby nawet wokalne wykonanie partyi miało charakter właściwy, bujnej trzebaby wyobraźni, aby uwierzyć w postrach, jaki szerzy; a przychodzi to tem trudniej, że panna Pacini (Zerlina) opowiada z taką niewzruszoną równowagą w słynnym romansie (akt I) o „groźnej broni męża, co ma wspaniałą postać, silną dłoń i stale odpiera cios," dla dziewcząt zaś bywa „przyjemny i niesrogi." Artystka, mimo swego chłodnego traktowania całej partyi, zdobyła huczne a zasłużone oklaski wykonaniem aryi toaletowej (akt II), najeżonej trudnościami koloraturowemi. Komiczną rolę lorda Cockburna powierzono p. Dylińskiemu — artysta to wytrawny, a choć mu środki wokalne nie bardzo już dopisują — zwłaszcza w *ensemble'ach* — taką umie w grze miarę zachować, że niczem nie zdradzi, iż częściej znacznie przebywa na scenie operetkowej, niż operowej. Śpiewak młodszy, świeższy głos mający, wydobyłby niewątpliwie więcej humorystyki z tej roli, p. Dyliński wszakże nie zepsuł jej niczem i we właściwym tonie utrzymał, co mu przyszło tem trudniej, że komizm wyrażać musiał w niezrozumiałym dla słuchaczów języku.

Zatraciła się natomiast zupełnie humorystyczna sentymentalność lady Cockburn (pani D'Orio), chętnem okiem patrzącej na zaloty rozbójnika, przebranego za markiza. Ani natura głosu, ani uzdolnienie artystyczne pani d'Orio do ról podobnych się nie nadaje. P. Sienkiewicz, rozkochany w Zerlinie sierżant, nastroił się zbyt tragicznie ze stanowiska aktorskiego; odśpiewał zaś niewielką partyę swoją poprawnie, ujmując wszystkiemi zaletami swego pięknego głosu, a rażąc tymi brakami w używaniu go, których jakoś pozbyć się nie stara. Jedynymi prawdziwymi tłomaczami Aubera byli pp. Chodakowski i Sillich, w roli opryszków z bandy Fra-Diavola; ci dwaj artyści tylko odczuli istotę opery *bouffe* i zdobywali huczne oklaski, zwłaszcza za znakomite istotnie wykonanie w akcie III-im duetu, przedrzeźniającego ową słynną aryę toaletową Zerliny z aktu II-go.

Chóry i orkiestra stosować się musiały w tempie i rytmach do niewytłomaczonych fantazyj p. Spettrino; ilekroć widzimy go przed pulpitem dyrektorskim, wydaje nam się, że zasiada tam tylko po to, aby dowieść, jak dyrygować operą *nie* należy.

Trudno nam było pojąć na ostatnim koncercie Towarzystwa muzycznego (3 b. m.), dlaczego właściwie p. Ansorge cieszy się w Niemczech sławą takiego niepospolitego fortepianisty. Czyżby dla wielkiej w istocie techniki i siły? Ale kto dziś nie ma siły i techniki? Który fortepianista, mający pretensye do jakiego takiego rozgłosu, nie zdumiewa dziś sprawnością i wytrzymałością ręki? Te przymioty wszakże same przez się nie wystarczają do zdobycia sławy, innych zaś, w tej mierze, jaka sławę tę usprawiedliwia, nie zdołaliśmy się w artyście niemieckim dopatrzeć. Grę p. Ansorge określilibyśmy może mianem — filisterskiej; ani w niej polotu, ani uczucia, ale wszystko poprawne, czyste, dokładne; niepospolicie pięknemi są też w niej *piana*, tylko, że artysta nadużywa ich efektu gwałtownemi przejściami do *forte* i odwrotnie. Z takiemi danemi trudno było zadowolić wykonaniem zarówno Chopina, jak i Liszta; najlepiej jeszcze wyszedł z pod palców wirtuoza Schubert, odegrany z dużą prostotą. Z p. Rupniewską nie po raz pierwszy spotykamy się na estradzie Tow. muzycznego: artystka ma repertuar poważny—odśpiewała między innemi urywki z „Eliasza" Mendelssohna i „Mszy solennej" Rossini'ego stylowo wprawdzie, ale bez tego podniosłego nastroju, jaki wykonanie utworów podobnych cechować powinien. Nowo utworzony, a raczej „odświeżony," chór żeński „Lira" przedstawił się sympatycznie, najbardziej podobało się wykonanie „Jubilate" Scholtza, w którem głos solowy prowadziła umiejętnie p. Róża Rapacka.

Br. N.

FELIKS PIETKIEWICZ.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Dnia 24 października w Kijowie rozstał się z tym światem człowiek, który przeszedł przez życie nieskazitelnie czysty i swoim pięknym charakterem zdołał zaskarbić niekłamany szacunek i sympatyę bardzo szerokiego ogółu. Urodzony w gub. Mińskiej r. 1820, skończył nauki gimnazyalne w Słucku, następnie odbył studya uniwersyteckie na wydziałach literackim i prawnym w Kijowie i tam wkrótce jako obrońca zasłynął nietylko w Kijowie, lecz daleko na ziemi ukraińskiej, podolskiej i wołyńskiej. Dusza gorąca, od wczesnej młodości rwąca się do wzlotów wysokich, pełna ekstazy poetyckiej i ideałów szerszych, nie mogła zamknąć w sobie swych uniesień, rodziła zamiłowanie do poezyi, przyrody i wogóle piękna. Te niepospolite i nieskalane przymioty duszy i charakteru nosił w sobie F. Pietkiewicz całe życie i z nimi zstąpił do grobu. Zapał młodzieńczy, czerpany najpierw wespół z Syrokomlą z najpiękniejszej księgi przyrody litewskiej, następnie z puszcz Polesia ukraińskiego, pozostał w nim aż do ostatnich chwil życia. W r. 1848 Feliks Pietkiewicz wydał tom poezyj, bardzo pochlebnie wówczas oceniony przez J. I. Kraszewskiego. W poezyach tych odzwierciedla się całe gorące umiłowanie przyrody i ludu litewskiego:

Bo u mnie nad kraj rodzinny
Niema kraju, ani ziemi!
[illegible] wiecznie między swemi,
Tu spędziłem wiek dziecinny...
Tu nie obca dla mnie mowa,
Mowa słodka, śpiewna, dzielna;
W niej się dziwny urok chowa
I potęga nieśmiertelna!

Tak śpiewał do kolegów. W okresie pańszczyznianym bolały go stosunki klasowe, więc w swej łagodnej dobroci tak wzdychał:

Śliczne byłoby to życie,
Choć w tak ścieśnionym obrębie,
Żeby chłopkom inne bycie,
A panom serce gołębie!

W jego opowieściach poetyckich na tle podań gminnych przesuwają się prześlicznie pochwycone obrazy natury. Oto mały skrawek („Obłok"):

Niebo zachodu ogniami płonie,
Piętrzy się, wzdyma chmura za chmurą,
Jak wał za wałem, góra za górą;
I w tych to wałach, w tych górach tonie
Zużone słońce, ścieląc snopami
Złote promienie po tęsknej ziemi
I barw tysiącem, wzory cudnemi
Błyskając krwawo po za chmurami.

Feliks Pietkiewicz był mistrzem łowów i poświęcił im nawet pieśń myśliwską, która się melodyi naprasza.

Zmarły był rodzonym bratem Adama Pługa.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

ENCYKLOPEDYE. Firma S. Orgelbranda po raz trzeci podjęła wydawnictwo „Encyklopedyi powszechnej," tym razem —z ilustracyami. Obecna edycya zakresem swoim odpowiada poprzedniej „średniej," którą nakładcy przyjmują w zamian za rs. 4.

MEDYCYNA. Dr. M. Stefanowska wydała w Brukselli swą pracę p. t. „Les appendices terminaux des dendrites cérebraux et leurs differents etats physiologiques" (57 str.).

FILOZOFIA. Dzieło prof. H. Struvego „Wstęp krytyczny do filozofii," wyszło w wydaniu drugiem.

JĘZYKI. Znana „Metoda" H. Ollendorfa do nauki języka francuskiego ukazała się w wydaniu ósmem, oraz „Łatwa Metoda" Bergera do nauki języka angielskiego.

WYDAWNICTWA ZBIOROWE. W „Bibliotece dzieł wyborowych" wyszła powieść Bolesławity „Tułacze," 3 t.

KALENDARZE „Ognisko domowe," kalendarz popularny, ilustrowany (kop. 15). Dubowski i Gajewski.

SPRAWY EKONOMICZNE

REFORMA ROLNA W GALICYI.

I.

Rozpaczliwy stan ekonomiczny własności ziemskiej jest najsmutniejszem świadectwem, jakie klasa uprzywilejowana, rządząca Galicyą, mogła sobie wystawić. Szlachta, mająca znaczną większość tak w sejmie krajowym, jak i w wiedeńskiem Kole polskiem, złożyła już przed historyą egzamin ze swoich zdolności politycznych, doprowadzając po trzydziestu latach samorządu do tragicznego zaostrzenia najważniejsze nasze kwestye społeczne: rusińską, chłopską i żydowską; pod względem zaś czysto gospodarczym okazała nieudolność jeszcze bardziej uderzającą. Wielka własność ziemska — mimo przywilejów, jakich używa w postaci korzystnego rozkładu podatków, ulg podatkowych, przystępnego kredytu, podarków rządowych przy wykupie prawa propinacyi itd. — wielka ta własność jęczy w niewoli lichwiarzów wszelkiej kategoryi; odłużenie jej wynosi przeszło 62% oszacowania katastralnego, procenty z tego tytułu płacone wynoszą 16 milionów złr., nie wliczając oczywiście długów niezahipotekowanych. Rok rocznie licytuje się majątki przeciętnie 50 właścicieli tabularnych, ponad 500 mórg. Przemysł rolny, z wyjątkiem gorzelnianego, jeszcze w powijakach, fabryczny zaś, wpływający korzystnie na cenę produktów rolnych, wcale jeszcze nie istnieje. Cóż mówić o kaście, monopolizującej dla siebie wyłączne prawo polityczne i społeczne, a nieumiejącej nawet chodzić koło najprostszych swoich interesów?

Przypatrzmy się bliżej własności drobnej, gdyż jej stan jest podkładem wszystkich ruchów politycznych i ekonomicznych kraju. Przypatrzmy się, o ile pozwala aparat statystyczny, którym badacz stosunków społecznych powinien się posługiwać. Aparat to bardzo niedołężny, powiedzmy poprostu: statystyka rolnicza w Galicyi dotąd jeszcze nie istnieje. Jakim jest rozkład i stan odłużenia małej naszej własności — dokładnie powiedzieć nie można. Dr. Krzyżanowski (w Rocznikach Schmollera z r. 1895) bierze za podstawę swoich obliczeń stopę opodatkowania i podaje, że w r. 1892 na 100 gospodarstw podatek gruntowy niżej 1 złr. płaciło 46,43% gospodarstw, 1—2 złr. 20,73%,

2—5 złr. — 20,83%, 5—10 złr. — 8,12%, 10—20 złr. — 2,79%, 20—50 złr. — 0,69%, 50—100 złr. — 0,17%, wyżej 100 złr. płaciło 0,24% gospodarstw. Cyfry te dają dość jasne wyobrażenie o niesłychanem rozdrobnieniu, do jakiego doszła tutaj rola. „Aczkolwiek—mówi dr. Krzyżanowski—Galicya stanowi tylko czwartą część Austryi co do powierzchni, to przecież obejmuje jedną trzecią domów i parcel w Austryi istniejących.“ Stąd mamy niejakie wyobrażenie o głodowych porcyach ziemi większości naszych chłopów; a iluż ich nie posiada nawet tego punktu oparcia?

Co zrobiło ustawodawstwo krajowe dla rozwiązania sprawy rolnej?

Nic — odpowiada „Klub konserwatywny“ w Krakowie.

Klub konserwatywny, od roku przeszło istniejący, jest cieplarnią nowo-stańczykostwa, obleczonego pokostem wiedzy i inteligencyi europejskiej. Postawił sobie bardzo piękne zadanie: poważną, rzeczową, może więcej naukową, niż polityczną pracę na polu reform socyalnych, a więc przedewszystkiem na polu reformy administracyjnej i rolnej. Nie słowa jednak, lecz czyny decydują; o klubie tym musimy zaś sądzić po faktach, że przewodniczący jego, pos. Górski, tudzież najruchliwsi członkowie, hr. Rey, dr. Dąbski i in. maszerują w starej armii „krakowskiej“ szybszem tylko tempem. Ten charakter klubu nie zdołał jednak stłumić w nim skarg na ogólny zastój i wprost karygodne zaniedbania, jakie dotąd w kraju panowały odnośnie do sprawy rolnej. Na jednem z posiedzeń mówił sekretarz krakowskiego Towarzystwa rolniczego, zatem człowiek zdecydowanie „nasz,“ „dobrze myślący,“ o projekcie reformy rolnej. Z gorzką ironią wspomina w swoim referacie, iż Wydział krajowy, stojąc wobec tak rozpaczliwego objawu nędzy, jakim jest masowa emigracya, dał „dowód ciasnego, policyjnego pojmowania obowiązków władzy państwowej.“ Parlament wiedeński uchwalił od r. 1868 kilkakrotnie ustawy dla polepszenia stosunków rolnych, np. komasacyjne; „praktyczne zastosowanie... zawisło od wydania uzupełniających ustaw krajowych. Wśród szeregu krajów, które zdobyły się na ustawę tego rodzaju, brak sejmu galicyjskiego.“ „Do działalności ustawodawczej i administracyjnej naszych władz autonomicznych — mówi dalej dr. Krzyżanowski — nie będzie można zastosować nawet zwykłego sposobu pokrywania słabości ludzkiej, tj. hasła: *in magnis voluisse sat est*, bo i objawów dobrej woli, jak dotąd, nie widzę.“ Mówi to wszystko członek klubu konserwatywnego, nie żaden warchoł galicyjski; cóż dziwnego, iż ludzie gorętszej krwi, szczerzej odczuwający łzy i nędzę chłopską, zupełnie tracą zaufanie do ojcowskich rządów szlacheckiego sejmu i Koła polskiego.

Przez długi czas były obrazy przerażającej nędzy, żywiołowy ruch emigracyjny, liczba subhast i coraz głośniejszy pomruk protestu przy akcyach politycznych jedynymi objawami, na jakie Galicya w sprawie rolnej się zdobyła. Programu nie było, kraj rolniczy o głównym pierwiastku swego bytu nie pamiętał. Sfery rządzące, zajęte wielką polityką, kwestyą centralizmu i autonomii, w obrębie autonomii nie złożyły tego nawet dowodu dojrzałości, którym jest wyzyskanie ustaw istniejących. Nie miały programu i sfery opozycyjne. Podczas tegorocznych wiosennych wyborów do Rady państwa, wszystkie stronnictwa walczyły z sobą o lud wiejski, żadne jednak nie wystąpiło z konkretnym planem naprawy stosunków. Brak programu rolnego był piętą achilesową stronnictwa „ludowego,“ które zresztą, opierając się głównie na średniej warstwie chłopów, nie zajmuje się tyle losem bezrolnych i proletaryuszów. Niejasno określał swe stanowisko ks. Stojałowski; jednym tchem żądał „uspołecznienia wszystkich skarbów przyrody, które bez pracy i przyczynienia się człowieka powstały,“ oraz „wprowadzenia w życie ustawowych związków rolniczych... celem poparcia i rozwoju wszystkich spraw, dotyczących dobra drobnych rolników.“ Niejasnem było też stanowisko socyalistów.

Chaotyczne — jak zawsze — są poglądy na daną kwestyę Rusinów galicyjskich. Rządowcy dzielą w tej mierze — brak poglądów rządu; radykałowie do ładu dojść nie mogą. *Chliborob* w programie z r. 1895 żądał „zmniejszenia ciężarów rolnych i ulgi w podatkach... aby szły progresywnie,“ dalej: „wykupienia na drodze indemnizacyi wszystkich gruntów, należących do większej posiadłości i oddania ich do używania gminom.“ *Hromadzkij Hołos* z tegoż roku domagał się, „aby tę ziemię od panów wykupioną oddawać po 20, albo 25 morgów tym chłopom *w dzierżawę*... Można było dawniej wykupić od panów pańszczyznę i propinacyę, to można teraz wykupić ziemię, lasy i pastwiska.“ Były to jednak programy tylko redakcyj odnośnych pism; we wrześniu b. r. obradował nad tą sprawą we Lwowie wiec delegatów chłopskich. Dr. Iwan Franko reprezentował ideę wykupna gruntów w celu utworzenia parcelacyj dwudziestomorgowych dla chłopów, z uwzględnieniem w pierwszym rzędzie gmin; Wityk proponował utworzenie wielkiego banku dla zaprowadzenia planowej produkcyi kolektywnej. Chłopi okazali wielką nieufność i ostrożność, płynącą przedewszystkiem z pobudek politycznych, z obawy przetworzenia chłopa-dzierżawcy na niewolnika kraju. Ostatecznie nic stanowczego nie uchwalono.

Mamy więc we wszystkich warstwach społeczeństwa poczucie, iż obecny stan rzeczy dłużej trwać nie może; groźne *memento* odzywa się z politycznych haseł chłopów, z pędu emigracyjnego bodaj na złamanie karku, z podnoszących się tu i owdzie (szczególnie na Rusi) prób organizowania strejków najmitów rolnych, za przykładem Węgier. Tych gróźb trzeba było, aby sfery rządzące krajem pobudzić do myślenia; dopiero pod ich wpływem wyłoniły się w ostatnich czasach próby przygotowań dla przygotowania przygotowań dla ewentualnej reformy rolnej.

Przypatrzmy się tym próbom.

W. Feldman.

WYSTAWA PRACY KOBIET.

I.

Praca kobiet — to dział życia ekonomicznego, którego wszakże wyodrębnienie, wykazanie państwa wytwórczego w państwie wytwórczem, jest czemś bardzo sztucznem, forsownie naciąganem. Dzisiaj, w dobie produkcyi wielkiej, przemożnej, opartej na wielkim kapitale, wszelkiego rodzaju praca ludzka tak się z sobą poplątała, tak się uzależniła wzajemnie, że wykrojenie osobnego obrazu pod nazwą „praca kobieca“ nie da żadnego pojęcia ani o wytwórczości pewnych działów, ani nawet o pracy kobiecej, która jest jednem tylko ogniwem produkcyi ogólnej. W ruchu i rozwoju ekonomicznym praca kobieca jest dźwignią ogromną, szczególnie tam, gdzie potrafi wyprzeć siłę męzką, znacznie droższą.

Co jednak nam daje wystawa? Nie daje ona najmniejszego pojęcia o tego rodzaju pracy. Niema tam płodów natężenia sił armii w spódnicy, która się zaprzedała przemysłowi wielkiemu, bo w tej dziedzinie, gdzie kobieta jako wytwórca nie posiada najmniejszej samodzielności, gdzie ta produkcya jest bezpłciowa i bezosobowa, gdzie na wytworzenie jednej sztuki towaru składają się siły mężczyzn, kobiet, dzieci i — maszyny, wyodrębnienie owoców pracy kobiecej byłoby wprost fizycznem niepodobieństwem. Można było je do pewnego stopnia stworzyć tylko w jednej dziedzinie, upadającej coraz bardziej pod naciskiem kapitału i maszyny: w dziedzinie rzemiosł. Ale i tu wystawa nie dała nawet w przybliżeniu pojęcia o istotnym stanie wytwórczości niewieściej. Urządzono popis na dochód Muzeum rzemiosł i tylko ten cel, zdaje się, miano na względzie. Temu chyba przypisać należy dorywczość i zupełny nieład organizacyjny. Zrobiono coś, ażeby zwabić publiczność. I jakaż to „praca kobiet“? Miała być rękodzielnicza. W rzeczywistości zaś jest to popis amatorek i garstki właścicielek przedsiębiorstw rzemieślniczych. Przytem żadnego systemu, żadnych działów, jak na bazarze małomiejskim, gdzie śledzie, cebule, rękawiczki i buty leżą obok siebie. Na wystawie niniejszej widocznie rządzono się tą zasadą, że kto pierwszy, ten lepszy. Dlatego sztuka stosowana do przemysłu sąsiaduje z gorsetami lub pończochami itd.

Wyodrębniony, chociaż sztucznie, dział pracy kobiecej w zakresie rękodzielnictwa, mógłby dać bardzo ciekawy skrawek obrazu, chociaż nie dałby pojęcia o jej czynnikach i warunkach. Ale wystawa obecna nawet i tego zadania nie wykonała. Zebrała ona przypadkowo, jakby na prędce, trochę eksponentek i umieściła ich okazy w kilku szczupłych pokojach, bez żadnego usystematyzowania, bez podziału na właściwe kategorye produkcyi. Jest to kanwa efektowna, zrobiona z jedwabiu, bawełny, lnu i konopi. Wszystkie nitki plączą się i gubią, nie można żadnej z nich dojrzeć w całości. Każdy dział jest rozproszony w kilku pokojach, w kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu miejscach. Tu i tam widzimy łóżka z pościelą, wytwornie i ozdobnie przykryte; tu i tam ekrany, parawaniki; tu i tam abażury, kapy, koronki itd. Gabloty, jedna przy drugiej, pchają się, tłoczą, jak kobiety strojnisie przed oknem magazynu mód. Gorsze zasłaniają lepsze. Jedne, krzyczące, szerokie, rozpostarły się na drodze, zawadzają, irytują, inne, którym uważny widz przyjrzałby się chętniej — gdzieś pozapychano w kąciki skromne. W wielkiej masie cacek, wyrabianych przez kobiety, które mają dużo czasu i zapewne—pieniędzy, nikną roboty pracownic, ubiegających się o kawałek chleba. Na wystawie „rękodzielnictwa“ znaleźliśmy także... powieści kobiece, wystawione przez jedną z firm księgarskich. Możnaby ją posądzić o złośliwość mimowolną, gdyby nie to, że śród tych książek dostrzegliśmy utwory pierwszorzędnych, prawdziwie utalentowanych autorek. Zaznaczamy więc tylko niestosowność tego działu śród wyrobów rzemieślniczych. Zresztą jaki ma cel wystawa książek? Gdyby były ozdobnie oprawne, publiczność podziwiałaby i oceniała na oko robotę introligatorek. Treści „na oko“ ocenić nie można, zwłaszcza tam, gdzie się widzi rękodzielnictwo.

Śród okazów niepotrzebnych i niestosownych próżno szukalibyśmy robót krawieckich, które przecież stanowią przeważną część pracy kobiecej w Warszawie. Pomimo *dwudziestu tysięcy* szwaczek, podtrzymujących swoją pracą setki magazynów i „pracowni,“ nie znaleźliśmy jednej choćby najskromniejszej gabloty, któraby przypominała publiczności, że ta wielka, głodna armia w spódnicy istnieje i na swych wątłych barkach dźwiga poważny dział produkcyi rzemieślniczej, niemal wyłącznie kobiecej.

Organizatorowie widocznie mieli na ce-

lu nie wystawę kobiecą, lecz *damską*, i to wyłącznie warszawską, gdyż prowincyi wcale nie uwzględniono, pomimo że w kraju naszym jest dużo bardzo ważnych i różnorodnych gałęzi produkcyi, gdzie praca niewieścia wybitny udział bierze. Niema tedy ani przetworów z płodów rolnych i ogrodniczych, niema wyrobów rękodzielniczych tkackich, ani wogóle owoców pracy szlachcianek i włościanek, która w wielu okolicach kraju stanowi jeden z ważnych środków istnienia.

Każda wystawa, choćby najskromniejsza, lecz umiejętnie stworzona, posiada, oprócz okazów, sprawozdania i opisy, dające pojęcie o warunkach i sile produkcyi. Tutaj nie znaleźliśmy najmniejszego świstka informacyjnego, oprócz reklamowych. O katalogu zaś mowy być nie może, jak niepodobna byłoby skatalogować biblioteki, w której niepiśmienny introligator posklejałby zeszyty historyi i powieści z zeszytami geografii, chemii lub fizyki. Co się tyczy sprawozdań i opisów, nie jest to bezpośrednie zadanie komitetu wystawowego; ale obowiązkiem jego jest zawczasu udzielać wystawcom wskazówek odpowiednich. Jedna, zdaje mi się, tylko eksponentka, p. Wanda Malhomme, ogłosiła pewne szczegóły z zakresu swej produkcyi — wyrobów świerkowych. Dowiadujemy się stamtąd, że wyroby różnych drobnostek z gałązek wymagają wielkiej pracowitości i cierpliwości, przynoszą zaś skromny dochód. Trudno określić, ile wpływu dziennego mieć można, pracując 7—8 godzin; zależy to bowiem od wprawy i zręczności danej osoby (przypuszczam, że i od umiejętności wyrobienia rynków zbytu). Są przedmioty, jak stalugi, ramki, koszyki najprostsze itd., które opłacają się trzy razy więcej, niż mebelki i inne bardzo drobne rzeczy. Producentka w przybliżeniu oznacza na 75 kop. dziennie czysty zysk, gdy odpowiednio do zamówień robi się na przemiany stalugi, koszyki, mebelki. Stalugi np. dają mniej więcej czystego dochodu rs. 1 kop. 50., mebelki tylko 40—45 kop.

Informacye takie są cenne. Gdyby ich było więcej z różnych dziedzin pracy samodzielnej, można byłoby stworzyć w przybliżeniu dokładny obraz warunków wytwórczości, wskazywać pola pracy leżące odłogiem. Wyrobami z gałązek świerkowych dotychczas zajmuje się bardzo mało osób, pomimo że nauka nie jest zbyt zawiła, a narzędzia niekosztowne. Być może dlatego, że ta praca jest ściśle domową i prywatną, producentki nie potrafiłyby zjednać sobie szerszego koła odbiorców, więc i dochód mają skromny. W każdym jednak razie 75 kop. czystego zysku dziennego za 8 godzin pracy, to przecież więcej, niż daje nieraz kilkunastogodzinna, uciążliwa praca igłą. Nie zachęcamy bynajmniej ani szwaczek, ani pracownic innej kategoryi do zaniechania dotychczasowych zajęć i rzucenia się masowo na gałązki świerkowe, bo i bez tego naśladownictwo u nas jest wadą powszechną, więc gdy jedne gałęzie pracy, w perspektywie nawet bardzo zyskowne, zupełnie zaniedbano, inne tak dalece i nierozważnie są dziś wyzyskiwane, że nie dochód, lecz straty i bolesny zawód przynoszą. Mamy tu na myśli tylko uświadomienie warunków pracy, możność ich ogarniania, oceniania i czynienia przynajmniej przybliżonych obliczeń — ażeby nie iść, jak obecnie, na oślep. Gdyby np. kobiety nasze wiedziały, że malowanie na szkle i porcelanie lub wyroby „terrakotowe“ są wytwarzane w takiej ilości, że ich połowy ogół spożyć nie może — starałyby się unikać tego działu produkcyi, a natomiast poszukałyby innych pól, mniej jeszcze wyzyskanych. Gdyby następnie, dzięki zabiegom zsolidaryzowanym, potrafiono rozszerzyć rynki zbytu na malowane szkło i porcelanę lub przedmioty terrakotowe w takiej mierze, że produkcya dotychczasowa nie odpowiadałaby zapotrzebowaniom — wtedy, stosując się do pewnych wskazówek, można byłoby odpowiednio zwiększyć liczbę producentek i starać się o udoskonalenia techniczne i wzmocnienie pracy zbiorowej. Stałe i umiejętnie urządzane wystawy z aparatem wywiadowczo-opisowym, mogłyby w tej mierze oddać pewne usługi. Taka, jak obecna, jest tylko przypadkowym bazarem, gdzie eksponentki szczęśliwsze i ruchliwsze mogą trochę towaru swego sprzedać.

Godząc się z tem, cośmy obejrzeli, ocenimy w numerze następnym szczegóły i postaramy się z nich wysnuć wnioski o warunkach i potrzebach pewnych gałęzi produkcyi rękodzielniczej, wyłącznie lub częściowo ożywianej przez siły kobiece.

Zen. Piet.

W DALI.

Petersburg. Tygodnik *Ruskij Trud* scharakteryzował losy sekciarzy starego obrządku w pow. Gżackim, gub. Smoleńskiej. Nowa ustawa paszportowa sprowadziła na nich prawdziwą klęskę. Małżeństwa, uznawane dotychczas za legalne i odnotowane w księgach policyjnych, obecnie uważane są jako nieprawne, a paszportów ojcom takich rodzin nie wydaje się więcej, co nie pozwala tym ludziom szukać zarobku, dzieci zaś, zrodzone z tych małżeństw, uważane są za nieprawe, a więc nie wolno brać spadku w ziemi po rodzicach. „Jest to najzupełniej zrozumiałe — pisze organ powyższy — iż, będąc przeciwnikami szerzenia się sekciarstwa, powstrzymujemy się od wszelkich wywodów krytycznych obowiązującego prawa, lecz w imię zasady legalności pozwalamy sobie na wskazanie rażącej luki w tem prawie, czy też na jakieś nieporozumienie, które gwałci samą zasadę prawa. Jednocześnie z wydawaniem praw dla sekciarzy należało przynajmniej sprawdzić i zbadać dokładnie, dlaczego wielu z nich było chrzczonych w cerkwi prawosławnej. Właśnie dlatego, że zaniedbano takiej kontroli i obrachunku, stały się możebne takie smutne fakty. Bardzo jest prawdopodobne, że liczba sekciarzy wciąż wzrasta pomiędzy nami i jest już wielu, którzy niedawno byli prawosławnymi. Tembardziej staje się koniecznem ujawnienie tej sprawy i za pomocą otwartego zeznania oddzielenie jako osobnej grupy tych, którzy już faktycznie nie należą do cerkwi prawosławnej, a następnie, jeżeli tego potrzeba, należy ochraniać przed wpływami sekciarskimi pozostałą ludność, znosząc jednocześnie dozór policyjny nad sekciarzami, którzy tylko na papierze należą do cerkwi prawosławnej.“ Fakty zacytowane przez *Ruskij Trud* o nieuznawaniu legalności małżeństw i zabronieniu spadkobrania przez dzieci sekciarzy, redakcya sprawdziła, a przyczyną owych faktów jest to właśnie, że nowe prawo, określające ściśle zasadę wydawania paszportów długoletnich, uznaje tylko te małżeństwa, które były zawarte w cerkwi, oraz legalność urodzenia tych dzieci, których rodzice brali ślub w cerkwi; ponieważ sekciarze unikają wszelkich stosunków z cerkwią, więc nowa ustawa paszportowa stała się dla nich prawdziwą klęską i przymusem, któremu oni poddać się nie chcą.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Petersb. Wied.* polemizują z p. Suworinem z powodu jego artykułów w *Now. Wr.* Dziennik ks. Uchtomskiego wykazuje korzyści, jakie zapewnia porzucenie zasady wojowania i przyjęcia zasady rządzenia, poczem tak pisze: „Opieramy się w Polsce już na dwóch podwalinach: na włościanach i mieszczaństwie. Pozwólcie oprzeć się na trzeciej — na inteligencyi złożonej ze szlachty i duchowieństwa, a *nie będzie całkiem kwestyi polskiej, albowiem gubernie polskie staną się prawdziwą Rosyą.*“

— *Kuryer warsz.* pisze: „Jeden z korespondentów donosi nam, iż niektórzy rejenci na prowincyi odmawiają poświadczania podpisów na plenipotencyach, wydrukowanych w dwóch językach, rosyjskim i polskim, utrzymując, jakoby im wolno było jedynie plenipotencye rosyjskie poświadczać. Ponieważ kwestya ta ma ogólniejsze znaczenie, śpieszymy przeto wyjaśnić, iż odmowa taka nie ma podstawy prawnej. W myśl art. 249 ust. notar., nawet akta urzędowe w warszawskim okręgu sądowym, na żądanie osób interesowanych, mogą być sporządzane, obok tekstu urzędowego (uważanego za oryginał aktu), również w języku polskim, rejent zaś powinien tylko przestrzegać ścisłości przekładu. Co się zaś tyczy poświadczania podpisów na dokumentach prywatnych, to rejenci powinni poświadczać je nawet na dokumentach, spisanych w językach cudzoziemskich, mogąc jedynie zażądać przedstawienia przekładu w języku urzędowym.“

— *Now. Wr.* utrzymuje, że wystarczy większa czujność dozoru fabrycznego i żywszy współudział Polaków w przedsiębiorstwach akcyjnych, ażeby położyć kres hakatyzmowi łódzkiemu, który stał się niemożliwym do tolerowania.

Gospodarka miejska. *Kuryer warsz.* donosi: „Jedno z pism tutejszych wytknęło nieprawidłową jakoby manipulacyę magistratu przy ściąganiu podatków, a mianowicie, iż w razie niepłacenia przez właściciela domu podatków, magistrat bezpośrednio pobiera od lokatorów komorne na poczet zaległości, należnej kasie miejskiej. Wskutek tego zażądano od magistratu wyjaśnienia, z którego okazuje się, że takie postępowanie opiera się na wyraźnych w tym względzie przepisach b. rady administracyjnej Królestwa z r. 1857. Taka zresztą prawna manipulacya nie uchybia w niczem lokatorom, a dla magistratu stanowi jedyny środek ściągnięcia zaległości.“ — Notatka ta wymaga wyjaśnienia: „Jednem z pism“ jest *Prawda*, która nie wytknęła jakoby „nieprawidłowej manipulacyi magistratu,“ lecz zwróciła uwagę: 1) na samowolę poborców, 2) na wymaganie, ażeby lokatorowie sami płacili komorne w magistracie, pomimo że magistrat powinien być na usługi publiczności; 3) na to, że lokatorowie są pod groźbą sekwestru za długi właściciela domu; 4) że poborcy często gwałcą umowę między lokatorem a gospodarzem i wymagają, żeby pierwszy płacił z góry, gdy płaci z dołu, lub żeby płacił kwartalnie, gdy wnosi komorne miesięcznie; 5) że wreszcie poborcy bywają czasem dość zuchwali i niegrzeczni. Wytknąwszy to wszystko, *Prawda* żądała, ażeby magistrat przysyłał swoich inkasentów do lokatorów. Co do przepisów b. rady administracyjnej, *Prawda* sama je zaznaczyła i położyła nacisk na niestosowność niektórych szczegółów.

Szkoły. Ministeryum wyjaśniło, że prośby osób prywatnych o dopuszczenie do egzaminu na stopień nauczyciela lub farmaceuty podlegają opłacie stemplowej.

— P. Zofia Krosnowska wystąpiła do władzy naukowej z podaniem o koncesyę na szkołę rzemieślniczą żeńską z kursem 8-letnim, w Warszawie.

— *Birż. Wied.* donoszą: Podręcznik Rożdiestwienskiego do nauki historyi, jako wskazujący przeszłość Polaków jedynie w złem świetle, będzie usunięty ze szkół średnich okręgu naukowego warszawskiego.

— Politechnika w Warszawie ma posiadać trzy wydziały: mechaniczny, chemiczny i budowlany.

Teatr. Prezes dyrekcyi teatrów rządowych warszawskich, pułkownik Andrejew, opuszcza stanowisko, miejsce zaś jego zajmuje naczelnik warszawskiego zarządu pałaców Cesarskich, generał Iwanow, zatrzymując jednocześnie urząd dotychczasowy.

Literatura ludowa. Nasza literatura ludowa, choć szczupła w stosunku do potrzeb, rozwija się stopniowo, dzięki usiłowaniom kilku ludzi, którzy poświęcają swe pióra dla jej dobra. Oto znów pojawiło się kilka dziełek tego rodzaju w powtórnych wydaniach. Okoliczność ta świadczy o ich poczytności pomiędzy nieoświeconymi czytelnikami, lecz zarazem dowodzi, że przydałaby się jeszcze większa rozmaitość i na tem polu. Brzeziński: „Snopek“ (wyd. 4), „Pogadanki o owadach“ (wyd. 2), „Zaćmienia słońca“; Różańska: „Nauka rachunków“ (wyd. 3); H. W.: „O niebie i ziemi“ (wyd. 3); Bujwid dr.:

„Pomoc w nagłych wypadkach"; Piast: „Kurpie" (wyd. 2); Teresa Jadwiga: „Syn kmiecy"; A. P.: „Egipcyanie" (wyd. 2); Kraszewski: „Kordecki, czyli obrona Częstochowy" (2 tomy 40 kop.); Wrzesień: „O dawnych pieśniach."

Przemysł i handel. Ministeryum skarbu postanowiło ostatecznie zaprowadzić w Rosyi system miar metrycznych.

— Komitet, zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia dr. Józefa Mianowskiego, podaje do wiadomości, że w d. 2 października r. b. w wykonaniu woli b. p. Jakóba Natansona, niegdyś profesora b. Szkoły Głównej, który testamentem przez rząd zatwierdzonym przekazał Komitetowi Kasy fundusz wieczysty w tym celu, aby z procentów od takowego udzielane były co lat cztery dwie nagrody za dwie największej wartości prace naukowe, w ciągu ostatnich lat czterech przez mieszkańców Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonych, dokonane i w języku polskim drukiem ogłoszone:

Jedna za najlepszą pracę w zakresie nauk ścisłych, a druga za takąż pracę w zakresie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych i historycznych lub tym podobnych — przyznał pierwszą z tych nagród p. Edmundowi Biernackiemu za prace: „Badania nad składem chemicznym krwi w stanach chorobowych, a w szczególności w stanach anemicznych" („Gazeta lekarska," 1893), „O stosunku osocza do ciałek czerwonych we krwi krążącej i o wartości różnych metod oznaczania ogólnej objętości krążków" („Pam. Tow. Lek. Warsz.," 1894), „Przyczynki do pneumatologii krwi ludzkiej w stanach chorobowych" („Pam. Tow. Lek. Warsz.," 1894); drugą zaś p. Henrykowi Struvemu za dzieło: „Wstęp krytyczny do filozofii, czyli rozbiór zasadniczych pojęć o filozofii" (Warszawa, 1896).

Redaktor i wydawca dr. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 31 Октября 1897 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.